

Dziś w numerze: ● **Macmillan o Monachium** ● **Majski o Wrześniu** ● **10 lat Łódzkiej Telewizji** ● **Sprzedaż Babianny...** ● **Dlaczego Anglicy nie mówią po angielsku?** ● **Łęczyca na nowo** ● **Felietony** ● **Recenzje** ● **Polonica**

odgłosy



Nr 36 (398)
11. IX. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX



WACŁAW BILIŃSKI

Niewiesz oskarża!

1. KRAJOBRAZ

Mijamy kolorowy jesienny las za Poddębicami — i oto rozpościera się przed naszymi oczami szeroka, nadwarciańska dolina. Od północy i zachodu przechodzi w mokradła i rozlewiska czarnej, powoli płynącej Warty. Za nami zamyka ją szerokim półkolem las.

Właśnie tutaj — na tej tak sielskiej równinie — rozegrała się we wrześniu 1939 roku szczególnie krwawa bitwa — i to bitwa zwycięska dla żołnierza polskiego. 5 września w nocy rozpoczęły się kontrataki 60 pułku piechoty. Z tych właśnie lasów z zaskoczenia spadły kompanie polskiej piechoty, atakujące białą broń. Starcie na bagnety przerodziło się w ucieczkę Niemców zdziwionych paniką. Wyparto zabójcę z jednej wsi, potem z drugiej i trzeciej. Niemieccy oficerowie, tak dotąd pewni swej przewagi, uciekali teraz z kwatem w bieleżnie, obok siebie porzucając działa i tabory.

A jaka to była panika — i jaka klęska — o tym najlepiej świadczy dokumenty niemieckie. Znajdujemy je w gminie wioski Niewiesz, leżącej po prawej stronie szosy Poddębice — Uniejów.

2. BELEGUNGSLISTE

I oto leżą przede mną żółte, drukowane na grubym, kredowym papierze niemieckie listy strat wojennych — Belegungsliste. Ważne te dokumenty datowane w sierpniu 1941 roku, opatrzone nagłówkiem Oberkommando der Wehrmacht, Auskunftstelle für Kriegsverluste, dotyczą tutejszych — w Szarowie i Domaniewiczach — niemieckich

Dalszy ciąg na str. 3

JANINA RZĄSA-ADYNOWSKA

KOMU TOREBKĘ OJCZYSTEJ ZIEMI?

W roku ubiegłym oglądaliśmy program satyryczny jednego z teatrów zachodnioniemieckich, transmitowany przez telewizję Republiki Federalnej. Jako jeden z punktów programu, została odegrana scenka, która wyglądała mniej więcej w ten sposób:

Na estradę wchodzi aktor ucharakteryzowany na ulicznego handlarza, dźwigając przed sobą olbrzymią, drewnianą tacę, na której stoją papierowe torebki zawierające towary do sprzedaży. Handlarz przechadza się po estradzie i zachwala sprzedawany towar:

— Ziemia ojczysta! Ziemia ojczysta! Kto kupi torebkę ojczystej ziemi?! Ziemia z Wrocławia, ziemia z Opola i Szczecina! Tylko dwie marki torebki! Ziemia z Gliwic i Koszalina! Gwarantowana! W najlepszym gatunku! Komu jeszcze, komu, torebkę ojczystej ziemi!

Na estradę wchodzi aktorzy-przechodnie i zaczynają się targi, rozmówki i uwagi, jak przy stoisku z pietruszki czy szynkami.

Jakaś paniusia prosi o ojczystą ziemię z Wrocławia, płaci żadaną cenę i kontemplantuje zawartość torebki. Waży w ręku, dotyka, wacha, pociąga nosem. Próbką zakłamanego, koituińskiego sentymentalizmu zagranego w sposób wyrazisty a dyskretny przez złośliwie uroczą aktorkę.

— To pani szanowna z Wrocławia? — pyta współczująco ktoś z przechodniów.

— A, tak, tak, z Wrocławia! — i zaczyna się historyczna babska serenada o „tesknocie” i „wygnaniu”.

— A gdzie pani mieszka teraz, no, myśle — od czasu wojny, to ostatnie kilkanaście lat?

Paniusia rzuca nazwę jakiegoś miasta.

— A jak się pani powodzi?

Okazuje się, że całkiem nieźle. — I to nowe miejsce pobytu, w którym pani powodzi się całkiem nieźle, czy to nowe miejsce nie jest teraz pani ojczyzna?

— Nie, moja ojczyzna jest i pozostanie Wrocław! — Bo, widzi pani, Polacy, ludzie, którzy tam teraz mieszkają, otrzymali po wojnie z Wrocławia kupę gruzów, zamiast miasta. Otóż ci ludzie sami odbudowali Wrocław, tam żyją, tam pracują, tam urodzili się i tam chowali się ich dzieci. Co w takim razie jest ziemia ojczysta takiego małego Polaka, który urodził się we Wrocławiu?

— No, jak to, co? Ojczyzna Polaków jest... no, no... Polska... — duka paniusia i słowa z trudem przechodzą jej przez gardło. Jest pewien postać! Paniusia mówi o Polakach używa słowa „Polen” a nie „Polaken”, pogardliwej formy, jakiej w tego rodzaju wypadkach używają pewnego pokroju ludzie. Scena toczy się dalej i kończy się znakiem zapytania, czy to tak jest, i tak ma być, jak sobie to wyobraża sentymentalna paniusia spragniona zapachu „ojczystej ziemi”.

Oczywiście, nie ma tu mowy o historycznym prawie Polski do Ziemi Zachodnich i, najprawdopodobniej nie to miało na myśli autor skeczu. Niemniej jednak sam fakt wsuniecia tej sceny do programu zachodnioniemieckiego teatru, świadczy o zdrowym rozsądku, odwadze i dobrej woli autora i wykonawców. Jest, niestety, sporo przykładów na to, że ludzie sztuki z Republiki Federalnej musieli pokutować za słowa słusznej krytyki.

Po tej audycji spotkałam się ze zdaniem, że ta scenka ulicznego przekupnia, świadczy o kryzysie odwetowców. Nie, scenka ta potwierdza tylko to, co wiemy o przekonaniach panujących wśród pewnych grup społeczeństwa zachodnioniemieckiego. Scenka ta również świadczy o tym, że w Republice Federalnej żyją i działają także ludzie, którzy przemawiają głosem rozsądku i dobrej woli. Głosy te, niestety, nikną w natrętym hałasie odwetowego puzonu.

Informacje o Polsce, które docierają do przeciętnego obywatela Republiki Federalnej, nie są, niestety, informacjami najlepszego typu. Polska, to dla większości społeczeństwa zachodnioniemieckiego, pojęcie bardzo mgliste. Dla bardzo wielu ludzi zaby Polska — to tylko coś, co przeszkadza w „uporządkowaniu” spraw niemieckich w Europie. Wreszcie — Polska — to przysłowiowa czerwona płachta na odwetowego byka.

Ten brak pojęcia o Polsce i o sprawach polskich rzucał mi się przede wszystkim w oczy w moich spotkaniach z Niemcami z zachodu.

Przypadkowo poznane towarzystwo wzięło nas początkowo za Austriaków. Gdy w rozmowie wynikło, że jesteśmy Polakami,

towarzystwo speszło się dość mocno. Jedną z pań, elegancką i niezwykle dobrze wychowaną osobą, wykrzyknęła zjawę i sentymentalnie:

— A! Polskal... A... wiem! Naturalnie, że wiem! Cóż to za biedny kraj! — Pani ta lamentowała dość długo w takim tonie, jakby ktoś jej ulubionemu pieskowi przetracił łapę. Miała ona „wiarygodne” i „aktualne” wiadomości na temat naszej biedy. Jacyś jej znajomi czy krewni byli w czasie wojny w Polsce — ach, jaki tam był głód!

Pozwoliłam jej mówić dość długo. Przekonałam się co do jednego. Ci ludzie o Polsce nie wiedzą nic. Po chwili przerażałam jej z uśmiechem.

Pani informacje na temat Polski są niezupełnie ścisłe i niezupełnie aktualne. W czasie wojny nasz kraj był systematycznie niszczonej a ludność szykanowana i głodzona. To należało przecież do programu faszyzmu. Obecnie Polska — to znowu kraj liczący ponad trzydzieści milionów ludzi, ludzi, którzy w tej chwili co prawda niecodziennie jadają kawion, ale codziennie smarują chleb masłem.

Jakże to jest możliwe? Przecież nawet my, w Niemczech zachodnich jadamy często chleb z margaryną!

— Stało się to możliwe po wojnie, właśnie wtedy, gdy niemieckie wojsko opuściło nasz kraj. Mamy piękne i czyste miasta — Kraków, Poznań, Warszawa. Chyba pani coś o tym słyszała?!

— A, tak... tak... Warszawa! Przecież Warszawa została zburzona?!

— Została zburzona, ale odbudowaliśmy ją na nowo. I właśnie dlatego, że po wojnie tak wiele musieliśmy budować, nie każdego z nas stać na mercedesa. Ale wielu z nas jeździ zupełnie dobrymi innymi wozami. Eksportujemy wiele towarów — a skoro mamy kontrahentów — to najlepszy dowód, że nasz przemysł liczy się w skali międzynarodowej...

— A, tak... szynka, likier...

No, cóż, ja od Sasa, a moja rozmówczyni od lasa. Dość trudno rozmawiać z kimś, kto w ogóle nie zna tematu! — Nasze dzieci uczą się w szkołach za darmo. — W tym miejscu pani spojrzała na mnie niedowierzająco. — No, proszę na nas spojrzeć, czy wyglądamy na niedożywionych, albo czy jesteśmy źle ubrani?

Pani błysnęła okiem w stronę siedzącego obok mnie mojego męża. Kawał chłopa o wadze dobrych dwustu funtów. Jak na zawołanie wpadł zadyszany mój synek Kubuś, okrzęły i zaróżowiony na buzi, targając z wysiłkiem wydzierającego mu się grubego koła.

Dalszy ciąg na str. 3



U Thant znaczy „Pogodny Pan”. I rzeczywiście sekretarz generalny ONZ cechowała dotąd wielką pogodą ducha. Mimo wielu kryzysowych sytuacji w ciągu swej pięcioletniej kadencji zachował wielki spokój i opowiadanie. Zyskał tym prestiż i autorytet. Agresja amerykańska w Wietnamie zachwiała jednak jego równowagę. Rychło zrozumiał, że Stany Zjednoczone wykazują słą wolę, a Organizacja Narodów Zjednoczonych jest bezsilna wobec eskalacji działań wojennych. To właśnie spowodowało, że z dniem 3 listopada, kiedy to kończy się obecna kadencja, zdecydował zrezygnować ze stanowiska sekretarza generalnego.

„Obecnie — pisze w liście; uzasadniającym swe stanowisko — podobnie jak wiele miesięcy temu, wydaje mi się, że bieg wydarzeń prowadzi nieuchronnie do wielkiej wojny, podczas gdy wszelkie próby powstrzymania tego procesu nie dają na razie żadnego rezultatu. Sądzę, że tragicznym błędem w obecnej sytuacji są starania o osiągnięcie pokoju z pozycji siły. Jestem przekonany, że pokój w Azji południowo-wschodniej można przynosić tylko w oparciu o zasady porozumienia genezyjskich z 1954 r. i postanowienia Karty NZ”.

Nie można mieć wątpliwości, kogo U Thant obwinił za wojnę wietnamską. Dawał to do zrozumienia niejednokrotnie, ostatnio w Santiago de Chile. Składając dymisję wykorzystał więc jedyny sposób, jaki mu pozostał, by stanowczo zaprzestować przeciwko wojnie w Wietnamie.

Zapowiedź nieubiegania się o przedłużenie mandatu sekretarza generalnego wywołała szczerą żal i zamieszanie państw, należących do ONZ. Dał oficjalnie temu wyraz nawet stały przedstawiciel Stanów Zjednoczonych w ONZ — Goldberg, chociaż wiadomo, że to właśnie USA są przyczyną tej decyzji i chociaż nie raz torpedowały one jego wysiłki do przywrócenia pokoju.

Dymisja U Thanta z pewnością nie jest na ręce Waszyngtonowi — pogłębia bowiem izolację jego wietnamskiej polityki, umacnia więź Stanów Zjednoczonych za obecny rozstrzygnięciem, międzynarodowej. Dymisja U Thanta rodzi także poważne problemy w samej ONZ, zwiastując — być może — długotrwały kryzys „personalny”.

Czy jest to ostateczne słowo? Wydaje się, że tak. Chyba tylko podjęcie rokowań między walczącymi stronami w Wietnamie mogłoby ewentualnie wpłynąć na zmianę decyzji.

Oczywiście — zbyt wcześnie byłoby teraz rozważać, kto mógłby być jego następcą. Jeśli przypomnimy sobie, jakie to trudności były przed pięciu

laty, zrozumimy, że nielato będzie znaleźć odpowiedniego człowieka, który uzyskałby poparcie zwłaszcza wielkich mocarstw. Nawet, gdy będzie się on wyłuszczył z „trzeciego świata”. Prasa amerykańska wymienia już nazwiska między innymi Indii, Afganistanu, Nigerii, Gwinei, Austrii, Meksyku — żadnego jednak nie można traktować jako kandydata — faworyta.

Równocześnie z głosem protestu przeciwko wojnie w Wietnamie U Thant, na drugim końcu świata — w Kambodży rozległ się i drugi znamienny głos — prez. de Gaulle’a. Przebywając tam z wizytą, na wielkim wiecu w Phnom Penh szerzył i pełniej niż dotychczas ustosunkował się do problemu wietnamskiego. Powtarzając znane stanowisko Francji, że droga militarna nie prowadzi do rozwiązania, stwierdził, że tylko układ polityczny mógłby przynosić pokój w Indochinach. Rozpoczęcie jednak, z pewnością trudnych i długotrwałych, rokowań musiałoby być poprzedzone zobowiązaniem Stanów Zjednoczonych do wycofania swoich sił „w odpowiednim i ściśle określonym terminie”.

Doniosłość tego apelu nie trzeba podkreślać. Wymyka to z trzech faktów, po pierwsze — że występuje z nim prezydent Francji — kraju, który przez wiele lat prowadził brudną wojnę w Wietnamie i który z własnych doświadczeń wie, że siła oręża niczego się nie osiągnie, po drugie — że złożył on został w granic Wietnamu, po trzecie — że w czasie pobytu w Kambodży de Gaulle spotkał się z oficjalnym przedstawicielem Demokratycznej Republiki Wietnamu.

W tym kontekście szczególnego znaczenia nabierają słowa prezydenta: „nie ma najmniejszych wątpliwości, aby narody Azji podporządkowały się prawu dyktowanego przez cudzoziemca, przybyłego z drugiej strony Pacyfiku”.

Przemówienie de Gaulle’a słusznie potraktowane zostało przez prasę światową jako „maglający apel do USA”, „surowe osądzenie działalności Stanów Zjednoczonych” i „zażalenie Johna Sona, by zobowiązał się do wycofania wojsk z Wietnamu”.

Do chwili przygotowywania komentarza do druku nie ma jeszcze oficjalnej reakcji Waszyngtonu, na adresowane do niego, przemówienie de Gaulle’a. Zdaniem korespondentów — funkcjonariusze USA wystąpią z krytyką apelu, ponieważ wycofanie wojsk nawet pociągane z porozumieniami, gwarantującymi neutralność Wietnamu, „zawładłoby dla USA posmak kłopotu”. Z tych też względów — jak donosi „Guardian” — Johnson dałby się od myśli opuszczenia Wietnamu i przygotowywania dalszą wysiłkę kontynuacji wojny.

Jeśli tała miałaby być odpowiedź Johnsona — oznaczałoby to przelenczenie jeszcze jednej szansy przywrócenia pokoju.

W. SLAWSKI

U Thant po tragicznej śmierci Hammarskjölda wybrany został sekretarzem w dniu 3 listopada 1961 r. Od tej też daty liczy swą kadencję, choć wielu członków Rady Bezpieczeństwa rozważa sprawę w 1962 r. występowania z wnioskiem, by nie uwzględniać okresu 3. 11. 61 — 10. 4. 62, do której to daty powinna trwać kadencja jego poprzednika.

Tygodnik

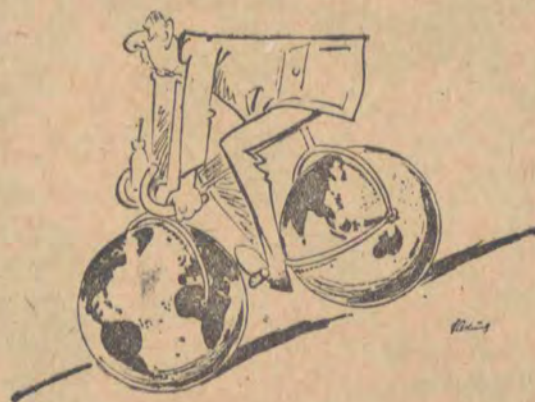
W ciągu 6 miesięcy br. z armii południowowietnamskiej, liczącej łącznie z formacjami pomocniczymi 705 tysięcy osób, dezercerowało 67 tysięcy osób. Jeśli natężenie dezercji nie zmniejszy się do końca br. wyrażać się ona będzie liczbą 113 tysięcy, tj. znacznie więcej niż w roku ubiegłym.

Sekretarz generalny ONZ U Thant w liście wystosowanym do członków organizacji odmówił przyjęcia obowiązku sekretarza generalnego na następną 5-letnią kadencję. Jeden z passusów listu sekretarza generalnego brzmiał: „Według mojego poglądu tragicznym błędem, który został powtórzony, jest poleganie na sile i środkach wojskowych w złudnym dążeniu do pokoju”. Francuski dziennik „Figaro” uważa, iż „Składając dymisję U Thant wykorzystał jedyny sposób jakim dysponował dla

szą ponieść porażkę w wojnie wietnamskiej z następujących względów:

- niekompetentne dowództwo i chwiejna, niekonsekwentna strategia,
- chroniczne trudności powodowane przez marionetkowe oddziały sajgońskie,
- niesłuchanie wysoki koszt wojny,
- niskie morale żołnierzy amerykańskich,
- słabość i tchórzliwość amerykańskich piechurów,
- nieskuteczna taktyka i niekompetentni oficerowie liniowi.

Wraz z ograniczaniem, a ostatnio — zamrożeniem cen i płac w Wielkiej Brytanii nadszła się emigracja Brytyjczyków. W okresie ubiegłych 6 miesięcy wyemigrowało do Kanady, Pld. Afryki i Australii 73 tysiące Anglików. Wśród emigrantów przeważają lekarze, naukowcy, technicy.



Tour de Gaulle

zaprzestowania przeciwko wojnie w Wietnamie”.

W szwedzkim szpitalu w Oerebro dokonano niezwyklej operacji — zmniejszenia wzrostu. Zabiegowi poddała się 19-letnia Szwedka, która przy swym wzroście 188 cm, jak oświadczyła dziennikarzom, zmuszona była w czasie spacerów chadzać rymostkiem aby sprawić wrażenie niższej. W czasie operacji usunięto 8-centymetrowe segmenty kości udowej i odpowiednio mięśni i naczyń krwionośnych. „Przy jaciele — mówiła po zabiegu Anna Charlotte Vestlund — żartowałam z mnie, nazywając mnie żyrafą, masłem. Stałam się samotna i neuraeniczna”.

Dziennik północnowietnamski stwierdza, że USA mu

Ocenia się, że liczba ofiar masakry jaka nastąpiła w Indonezji po wypadkach 30 września 1965 r. przekracza 500 tysięcy. Terror wojska i ugrupowań nacjonalistycznych-religijnych wymierzony był przede wszystkim przeciwko komunistom, członkom organizacji lewicowych i postępowych.

Szczera rozmowa — to taki rodzaj konwersacji, która zaczyna się przyjaźnią i kończy już wyraźną wrogością.
CHRISTIAN PINEAU

Z przemówienia Fidela Castro wygłoszonego podczas końcowej sesji XII Zjazdu Ku bańskich Związków Zawodowych: „Uważamy, że droga do komunizmu jest drogą całkowie nową i ludzką pod tym względem nie ma żadnego doświadczenia. Skoro nie ma żadnego przewodnika, skoro nikt nie przeszedł tej drogi, mamy prawo poszukiwać jej własnymi środkami i własnymi metodami. Respektujemy sposób myślenia innych, niech każdy buduje swój socjalizm i swój komunizm jak mu się podoba. Ale niech nam będzie wolno budować nasz socjalizm i nasz komunizm jak się nam podoba”.

Oszczędnościowe zarządzenie gabinetu brytyjskiego objęły również dziedzinę podróży zagranicznych. Decyzje te, jak zakomunikował Buckingham Palace, uniemożliwiły wyjazd księżu Filippowi, małżonkowi królowej Elżbiety z angielskim zespołem polo do Argentyny. Przyznawane przez rząd kwoty dla obywateli wyjeżdżających za granicę wynoszą 50 funtów na osobę. Wyjatek stanowią wyjazdy w sprawach handlowych lub zdrowotnych.

Po raz pierwszy w historii Izraela krajowi temu grozi recesja. „To prawie jak w Biblii — oświadczył jeden z ekonomistów — po siedmiu tustych latach od 1959 roku stajemy w obliczu siedmiu lat chudych”. Rosną ceny. Inwestycje i eksport uległy zmniejszeniu. Maleje produkcja. Wzrasta bezrobocie.

W Jugosławii trwa dyskusja polityczna prowadzona w oparciu o uchwały ostatniego plenum KC ZKJ. Tygodnik „Komunist” charakteryzuje je w artykule wstępnym kie-

funke tej dyskusji. Jednym z jej aspektów jest stosunek instancji partyjnych do organów samorządowych. Tygodnik, jako przykład niewłaściwego podejścia instancji partyjnych do spraw samorządu wymienia decyzje pewnego Komitetu Gminnego, który na swoim posiedzeniu ukarał kilku członków ZKJ za braki w działalności na terenie instancji administracyjnych. Pracownicy samorządu — pisze „Komunist” — ponoszą odpowiedzialność przed wyborcami, a nie przed komitetem partyjnym. Toteż omawianie ich działalności „za drzwiami zamkniętymi” należy uznać — zdaniem tygodnika — za metodę biurokratyczną i przestępstwo.

Telewizja francuska oskarżona ostatnio przez Departament Stanu USA o tendencję do relacjonowania konfliktu w południowo-wschodniej Azji nadała w ubiegłym tygodniu program pt. „Sprawa wietnamska”, o którym recenzent „Humanite” pisze, iż stał się „bezapelnym nym potępieniem polityki Waszyngtonu”.

W okolicznościach nasilającej się w Indonezji krytyki osoby prezydenta, Sukarno wygłosił kolejne przemówienie, w którym oświadczył, że nie zależy mu na tym, aby być prezydentem i nacelnym dowódcą sił zbrojnych, natomiast chce być wielkim przywódcą indonezyjskiej rewolucji. „Jako taki — powiedział Sukarno — będę wygłaszał przemówienia i przedstawiał publiczności swe poglądy. Mam prawo prowadzenia agitacji aby obudzić naród”.

Stany Zjednoczone wystały z propozycją zredukowania wydatków związanych z utrzymaniem więzień dla przestępców hitlerowskich w Spandau w Berlinie, jako że po 30 września jednym więźniem nazistowskim osadzonym w tym więzieniu będzie Rudolf Hess. Obecnie w Spandau znajdują się obok Hessa Baldur von Schirach — przywódca hitlerowskiego ruchu młodzieżowego oraz Albert Speer — hitlerowski minister do spraw produkcji wojennej i uzbrojenia. Schirach i Speer opuszczają więzienie 30 września.

Nowy rok szkolny w Czechosłowacji rozpoczął się pod znakiem spadku liczby uczniów. Jest to rezultat niskiego od kilku lat przrostu naturalnego w CSRS. W pierwszych klasach szkół podstawowych zasiadło w tym roku o 11 tysięcy uczniów mniej niż w roku ubiegłym. Również w szkołach wyższych liczba młodzieży jest o 2.100 niższa od przewidywanej. W roku 1970 do szkół CSRS uczęszczać będzie o 300 tysięcy dzieci mniej niż w roku bieżącym.

W japońskich sferach politycznych wybuchł skandal. Przewodniczący Komitetu Nizszej Izby Parlamentu sprawującego nadzór w zakresie finansów, Tanaka — postrach businessmanów i urzędników, został aresztowany pod zarzutem „pobierania łapówek. Według orzeczenia policji japońskiej trzech businessmanów łokijsey przekazali Tanace sumę 695.000 dolarów. Powiększona w ten sposób olbrzymia fortuna japońskiego „Katona” zapewniała dostatni był 21 jego dzieciom zrodzonym z 9 kobiet, zamieszkujących 7 wytwornych rezydencji w obrębie stolicy.

Ponad 500 tysięcy młodych Amerykanek zmuszonych będzie ożdzić swoje plany matrymonialne bądź pojąć osoby, które normalnie nie wchodziłyby w rachubę, bądź też pozostać starymi pannami. Przyczyna: dziewczęta należą do pokolenia, które przyszło na świat w okresie powojennego wyżu demograficznego, a ze względu na fakt, iż ich rówieśnicy chłopcy zawierają związki małżeńskie w późniejszym wieku, dla młodych dziewcząt rysuje się nader kłopotliwa perspektywa.

„Kiedy zaczynaliśmy grać, ustępowaliśmy uprzedzenia — powiedział amerykański pianista, członek zespołu jazzowego Earl Hines — opisując reakcje publiczności w czasie 6-tygodniowego tournée po Związku Radzieckim. Więcej tournée zespołów jazzowych a bariery zimnej wojny będą ustępowyły. „Jazz — to szczęście, to język, który pobudza uśmiech na ustach wszystkich”.

NADZIEJE I OBawy

Ukazało się nowe pismo „Miesięcznik Literacki”. Rozprzedano je w kioskach w ciągu jednego dnia. Kto się spóźnił, już pisma tego nie dostał. Piękny to objaw, zdradzający, że zainteresowanie literaturą w naszym kraju nie słabnie, zgodnie zresztą z wieloletnią tradycją. W Polsce literatura przez wieki była wiodącym nurtem kultury. Widać, że i obecnie, w dobie rozwoju kinematografii i telewizji, rola jej nie słabnie i zasadniczo nie ulega zmianie. Z pojawienia się każdego nowego pisma należy się cieszyć. Wzrost ona pejsaż życia literackiego i zwiększa (przynajmniej teoretycznie) szansę druku. Co zawiera pierwszy numer „Miesięcznika Literackiego”, o tym za chwilę. Na razie parę uwag na temat atmosfery, w jakiej rodzi się u nas nowe inicjatywy. Kiedy powstał tygodnik „Polityka”, redakcja jego rozstała do bodaj wszystkich ludzi piszących, listy z zaproszeniem do współpracy. Podobnie uczyniła redakcja powołanego do życia w roku ubiegłym miesięcznika „Poezja”. Możemy uznać to za gest formalny. Ale nikt nie zaprzeczy, że jest to gest ładny. Inaczej stało się z „Miesięcznikiem Literackim”. Wiedział się, że pismo takie powstanie już od kilku miesięcy. Ale nikt, poza wąskim kręgiem, nie potrafił powiedzieć nie konkretnego. Redakcja nie rozsyłała żadnych listów do ludzi pióra. Materiały zamawiano sposobem niejako chałupniczym. Oczywiście każda redakcja wybiera sobie taki tryb postępowania, jaki uważa za słuszny. Ale czy nie byłoby przyjemniej, gdyby w tym względzie „Miesięcznik Literacki” postąpił tak, jak w swoim czasie postąpiły redakcje „Polityki” i „Poezji”?

A teraz ad rem czyli do rzeczy. Jakż jest więc ten pierwszy numer nowego czasopisma? Dla mnie — interesujący. Wiele jest materiału, który przeczytałem bez znużenia, przeczytałem do końca. Lekturę miesięczników często zaczyna się od działów końcowych: kroniki, not, recenzji. Za najciekawsze w tym dziale uznalbm listy Boya-Zelenskiego do Kornela Makuszyńskiego, Ludwika Szepeńskiego i Kazimierza Czachowskiego, które przygotowała do druku i opatrzyła objaśnieniami Barbara Winkłowa. Pisma Boya wiążą są żywe, najlepszy dowód, że wydaje się je w coraz szerszym zakresie, a i życie jego budzi nasze trwałe zaciekawienie. Wybór tych listów wprowadza nas na nowo w krag spraw Boyowskich. Z uczuciami niepokoju czyta się wspomnienia Liddel Harta pt. „Byłem przeciw gwarancjom dla Polski”. Lid-

del Hart, brytyjski teoretyk wojskowy, nie pałał sympatią do Polski, czasami nawet odnosi się wrzenie, że brał stronę Niemiec. Należy tu, oczywiście, odróżnić stosunek autora do rządów Polski przedwrześniowej, który to stosunek nie był (i chyba nie mógł być) pozytywny. Ale rzecz w tym, że Hart zdaje się całkowicie potępiać gwarancje, udzielone przez Anglie Polsce, co godziło nie tyle w rząd sanacyjny, ile w sam naród, bezbranny i wydany na łup agresji hitlerowskiej. Czyta się jednak tego Harta (coż za hart!) z dużą uwagą i zaciekawieniem.

W numerze znajdują się dwa fragmenty prozy: Jerzego Putramenta i Tadeusza Nowaka. Oba wiążące, dobre i, jak u Putramenta, napisane z werwą. Ale czy miesięcznik powinien drukować fragmenty powieści? Czy nie należałoby raczej publikować prozy całościowej: nowele, opowiadania, szkice? Cenny wydaje mi się dział esejistyczny. Zajmująca wypowiedź Zenona Kosidowskiego „Z moich warsztatowych notatek” wprowadza w warsztat pracy tego poczytnego dziś autora „Opowieści biblijnych”. Również inne pozycje tego działu: Zabiegowe rozważania o Newerlym, Koenig o teatrze politycznym i Porebskiego o problemach współczesnej plastyki zasługują na naszą uwagę. Natomiast niedosyt pozostawia u czytelnika dział recenzji książkowych. Po pierwsze: mało tego, a po drugie: dobór recenzowanych książek wydaje się raczej przypadkowy.

Należy wszakże pamiętać, że jest to pierwszy numer czasopisma i niepodobna zaspokoić w nim wszystkich potrzeb wszystkich odbiorców. Pismo ma określony program, pragnie — jak dowiadujemy się o tym z przedmowy — „kształtować socjalistyczną myśl i socjalistyczną literaturę w rozległym przekroju spraw społecznych, filozoficznych, historycznych i moralnych”, co każe spodziewać się jak najlepszych rezultatów. Słowem: życzymy redakcji nowego czasopisma pięknych osiągnięć. Dziękuję dobrze, a i o nas nie zapominajcie!

Jan Koproch

Niewiesz oskarża!

Dalszy ciąg ze str. 1

ementarzy wojskowych z roku 1939. Zobowiązują też władze do opieki nad cmentarzami, do powiadomienia rodzin poległych o rozmieszczeniu grobów.

W skrócie jest dużo tych list — a przecież to tylko ich cząstka. Przewodnikowi trafiająca w nasze ręce: niemiecki urząd gminny nie zdażył się ewakuować. Potem w pozostałych po nim papierach ktoś wpostrzegł te listy strat, już zdekompletowane.

Przerzucam sztywne, żółte karty: rubryki porządkują chaos wielkiej bitwy, zabitych znów jakby ustawiają w szeregi. Prowadzi ich teraz Wolf Tiedeman, Hauptmann 2 A.A. 30 — a więc artylerzysta. Znalazł śmierć tu, pod Niewiesz 7 września 1939 roku. A za nim idą Seidler, Fuhrman, Müller, lejtnants i von Spörcken, Oberleutnant, częściowo artylerzyści, częściowo piechurzy. Dopiero po nich — podoficerowie, rekruterzy, strzelcy: karta za kartą, długie litane nazwiska, numery jednostek bojowych, adresy rodzin, adnotacje o powiadomieniu rodziny.

Data śmierci zawsze ta sama — 6 i 7 września. Wśród nazwisk żołnierskich — jak na wszystkich niemieckich cmentarzach — wiele o brzmieniu charakterystycznym: Gierdalski, Kostka, Cichy, Kuchmierzak...

W skrócie mieści się tylko cząstka list strat dotyczących bitwy w rejonie Niewiesza i Poddebic. Zliczam nazwiska — jest ich ponad sto dwadzieścia. Już ten fakt najlepiej świadczy o rozmachu operacji.

Była to walka zażarta, na śmierć i życie. Ale już 8 września 60 pułk piechoty z Ostrowa Wielkopolskiego, musiał się w obawie przed okrzykami wycofać w kierunku na wschód. Stracił w tych walkach około 30 ludzi: nocne kontrataki, panika i zaskoczenie sprawiły, że straty niemieckie były 20-krotnie większe.

3. RZEŻ

Co nastąpiło, gdy do wsi odbitych przez piechurów z 60 pp. do Balina, Niewiesza, Józefowa i Ulanów znów wkroczyli Niemcy? Jak zachował się wówczas „rycerski” Wehrmacht?

We wrześniu 1939 r. i w czerwcu 1960 r. przebywali w Niewiesz i okolicy pracownicy Instytutu Zachodniego i z drobiazgową precyzją, arcywinnikami rzeczywistości, spisując dziesiątki protokołów i przesłuchując wszystkich naczynych świadków, odtworzyli wypadki z 8 września 1939 roku. Sprawozdanie z tej akcji i fragmenty protokołów opublikowano w 3 numerze „Przeglądu Zachodniego” z 1963 roku.

Oddajmy teraz głos niektórym ze świadków:

MÓWI ROZALIA TEODORCZYK Z BALINA:

W czasie walk schroniłam się wraz z rodziną do piwnicy. Niemcy wrzucili do tej piwnicy granat... Od jego wybuchu zginęła moja córka Kazimiera i trzy inne osoby. Mnie granat zranił ciężko w brzuch. Był z nami sasiad Wodziński, zranilo go w rękę... Wyciągnęto mnie z piwnicy... leżałam na podwórzu... prosiłam o podanie wody. Żołnierze niemieccy, którzy stał obok mnie, nie pozwolili mi podać wody. Wodzińskiego zaprowadzono do stodoły, w której zgromadzone wielu chłopów. Wszystkich ich Niemcy żołnierze rozstrzelali za ta stodołą.

MÓWI IGNACY KASZYŃSKI Z BALINA:

...przyszła większa grupa żołnierzy niemieckich, którzy nakazali nam wyjść z piwnicy. Prosiłam Pawłaka z Kopa, żeby wytłumaczył po niemiecku, co się tu dzieje. Gdy tylko Pawlak ukazał się u wyjścia, biał strzał, który zabił go na miejscu. Potem Niemcy wrzucili granat, który zranił wiele osób, w tym moją żonę i córkę, a na szel służące Helenie. Czuję urwać stopę. Niemcy strzelali do każdego mężczyzny i w ten sposób zabili 11 a 6 zranił, w tym także i mnie. Ocalili tylko ci ranni, którzy symulowali śmierć.

MÓWI STEFAN FIKTUS Z NIEWIESZA:

W czasie bitwy schroniłem się w lesie.



Po powrocie znalazłem za swoją oborą pięciu rozstrzelanych mężczyzn. Mieli oni związane z tyłu ręce. Był to Zieliński, szewc, z synem i trzej bracia Ciesielskowie, wszystko cywile.

MÓWI BOLESŁAW KOZŁOWSKI Z DOMINIKOWIC:

Gdy front się zbliżał, uciekłem z rodziną do lasu. Po powrocie zastałem wieś spaloną. W polu znalazłem zwłoki trzech moich sąsiadów. Wszyscy zginęli od kuli wymierzonej w tył głowy.

MÓWI JÓZEF WALIS Z NIEWIESZA:

Po powrocie... dowiedziałem się, że moja rodzina została rozstrzelana, podobnie jak cała ludność wsi Dominikowice. Znalazłem zwłoki mego brata Piotra z kula w piersi i w głowie, na końcu wsi znalazłem zwłoki ojca, matki, sasiada, jego 14-letniej córki i 18-letniego syna oraz sasiadki, Niemki, niejakiej Firus.

MÓWI ROMAN PELCZYŃSKI Z GROCHOLIC:

8 września do naszego domu weszli żołnierze niemieccy i zabrali stamtąd mego ojcę, wujka z 3-letnim synem, mego 12-letniego brata i mnie. Przed domem stali jeszcze 3 mężczyźni z Sempółki. Wszystkich nas za prowadzono na łaki przy szosie. Żołnierze kazali nam podnieść ręce do góry, następnie rozstrzelali wszystkich dorosłych, a nam, dzieciom, pozwolono odejść. Wśród rozstrzelanych był Oswald Lehman, tutejszy Niemiec, jego brata, Lucjana Lehmana, widziałem zabitego na podwórzu.

MÓWI ANDRZEJ WOŹNIAK Z GROCHOLIC:

7 września schroniłem się wraz z rodziną w murowanym dole na ziemniaki. Dom mój i zabudowania gospodarcze paliły się. Gdy żar zmusił nas do opuszczenia królowej, niemiecki żołnierz zastrzelił nabierów sasiada Wojciechowskiego. Żona Wojciechow skiego wybiegła za nim i chciała go unieść z ziemi. Wówczas ten sam żołnierz niemiecki przebił jej brzuch bańnetem (była w zaawansowanej ciąży). Mnie wraz z innymi mężczyznami zaprowadzili do ogrodu... po czym do każdego z nas z osobna strzelali. Zabili wszystkich prócz mnie, którego tylko zranił. Padłem razem z innymi i przeleżałem do wieczora...

Wieczorem widziałem jak Niemcy zastrzelił niejakiego Andrzejczaka, zaszedłem tak

że do zagrody sąsiada. Krzyśka i widziałem go zabitego w sieni swego domu. Widziałem także zabitych w swych obejściach Kukulę i Baka.

MÓWI JÓZEF ZYCH Z SZAROWA:

Po wykopaniu mogił dla 3 oficerów niemieckich, zostaliśmy skierowani nad wielką mogiłę 40 żołnierzy niemieckich i po jej zakopaniu podzielono nas na trzy grupy młodych, średnich i starszych. W średniej grupie było nas 22 chłopów. Zawieziono nas samochodem na łaki, wybrano spośród nas 11 i tych zastrzelono z rewolwerów. Potem zabrano nas, pozostałych, wszystko się dołożyło powtórzyło, z tym że do nas strzelano w miejscu oddalonym o 4 metry od tamtej egzekucji. Mnie tylko raniło. Ciało zamordowanego ekshumowały rodziny jeszcze jesienią 1939 roku.

MÓWI ROCH BIAŁEK Z DOMINIKOWIC:

7 września zaprowadzili mnie Niemcy pod eskortą na środek wsi, gdzie zobaczyłem grupę chłopów, wśród których poznałem także sąsiadów z mojej wioski. Wszystkich było 18. Wielu z nich krwawiło na skutek bicia. Za każdym arcyżołnierem chłopem z tej piątki stał żołnierz niemiecki z dużym rewolwerem w ręku. Oficer krzyknął i padły strzały. Ja byłem pierwszy w pierwszej piątce. Otrzymałem postrzał na zewnątrz lewej łopatki i upadłem. Późnym wieczorem tego samego dnia podszedł do mnie pies, który lizał moje ręce i twarz zbroczona krwią leżącego obok mnie sasiada Sobczyńskiego Piotra również z Józefowa. Wówczas zorientowałem się, że nikogo nie ma i zacząłem uciekać w pole. Po przebiegnięciu około 20 metrów dołączył się do mnie Józef Pietrucha, który był również tylko postrzelony wzdłuż ucha i szczęki. Uciekaliśmy więc razem. Ukryliśmy się w krzakach przy rowie w polu. Tam przeleżałem całą noc i następnego dnia. Było to około 200 m od drogi wiodącej z Uniełowa do Niewiesza. Leżąc tam widziałem, jak w południe szła droga w stronę Uniełowa kobieta z kilkorgiem dzieci i miała na plecach jakiegoś rzeczy. W pewnym momencie zauważyłem, jadącego do Uniełowa żołnierza niemieckiego na motocyklu. Dojechał on do kobiety i stanął. Następnie rozległy się strzały i widziałem, jak kobieta wpadła do rowu i dzieci też. Po kilku dniach dowiedziałem się, że kobieta ta nazywała się z domu Chmielecka i mieszkała w Ubysławiu.

4. CMENTARZ W NIEWIESZU

U wjazdu do wsi, za niskim murkiem, skrył się w bujnej zieleni wielki cmentarz — zwykły, polski, jakby znajomy: najwznie napisy na nagrobkach, stary grobowiec powstańców z 1863 roku a tuż obok — mogiła 23 żołnierzy z 60 pułku piechoty.

W głębi cmentarza — ogromna, kilkunastumetrowej długości mogiła ze wspólnym krzyżem i napisem głoszącym iż leżą tu prochy 314 osób pomordowanych przez Wehrmacht we wrześniu 1939 roku.

Badania prowadzone przez Instytut Zachodni stwierdziły iż ofiarami tej ludobójczej zbrodni byli mieszkańcy okolicznych wsi oraz uciekinierzy, których tu zaskoczył front. Z ludności miejscowej żołnierze niemieccy zamordowali:

w Dominikowicach	24 osoby
w Balinie	24 osoby
w Józefowie	26 osób
w Gibaszewie	17 osób
w Niewieszu	58 osób

oraz 8 września	
we wsi Krepa	60 osób
we wsi Czekaj	5 osób

Wszystkie te wsi były świadkami porażki niemieckiego oręża. Musiały więc taką cenę zapłacić.

5. I JESZCZE O ZAMORDOWANYCH

Wraz z Polakami ginęli także i niemieccy chłopcy-osadnicy: nie zdażyli nawet wytłumaczyć, że są Niemcami. Co robić z tymi kłopotliwymi trupami — choćby takich bestialsko zamordowanych braci Lehmanów? Od czegoś niemiecka propaganda? „Lodscher Zeitung” w numerze 31 donosi, że w dniu 7 września w Balinie Polacy zamordowali Oswalda i Ludwika Lehmanów. Jeszcze jed na zbrodnia polska, za którą odpowiadają cierpieniom i śmiercią zwyciężeni, przekleci Polacy!

Tak już u samego progu okupacji narzastawała się zbrodnia; kiedyś, po latach panowie pułkownicy i generałowie będą twierdzić, że popełniali je ci z gestapo, że to Himmler i jego formacje w obozach zgładz tak wykrwawiały całą Europę. Że to nie Wehrmacht, szlachetny i kontynuujący przecież rycerskie tradycje.

Lecz takie groby jak w Niewieszu — a jest ich w naszym kraju także wiele — de maskują to kłamstwo. Pamięć tych, których prochy kryją — nie pozwala nam zapomnieć i wybaczyć.

WACŁAW BILINSKI

KOMU TOREBKĘ OJCZYSTEJ ZIEMI?

Dalszy ciąg ze str. 1

Rozmowa trwała jeszcze dość długo, i widziałam, że pania coś myśli. Wreszcie nie wytrzymała i zapytała wprost.

— Ten kremowy kostiumik, który ma pani na sobie, jest bardzo „schick”. Kupił go pan w Eksquisicie w Berlinie?

— Nie, w Warszawie. I to nie w jakimś specjalnym salonie. Firma nazywa się „Pozłom”. — Widząc niedowierzające spojrzenie damy, powiedziałam jeszcze — Jeśli się pani te rzeczy podobają, a byłaby pani kiedyś w Polsce, proszę zapamiętać nazwę firmy. — Tu z niewinnym uśmiechem zdięłam żakiety i podesunęłam temu niewinnemu Tomaszowi w spódnicy wszystką pod kołnierzem tasiełkę z nazwą firmy i jej adresem.

Dama krzywi się i uśmiecha, ale ogląda markę i maca z przyjemnością szorstką powierzchnię dzianiny. Zachwyca się jakością materiału i pyta czy to bardzo drogie. Powiedziałam jej, że o tyle drogie, o ile drogie są wszędzie solidne ubrania. I znów od kostiumu wróciła rozmowa do łzawych lamentów na temat okropności jakie musiały przejść „biedna Polska” w czasie ostatniej wojny. Nie wytrzymałam.

— Niech nas pani tak nie żałuje. Jak pani widzi, dajemy

sobie jakoś radę. A co do przeszłości, to oczekujemy, że w procesach przestępstw wojennych, jakie toczą się na terenie Republiki Federalnej, zapadną surowe i sprawiedliwe wyroki.

— A tak, są takie procesy. Sama słyszałam. Niektórzy przestępcy dostają nawet po kilka ładnych lat więzienia.

— Kilkomna latami więzienia karze się u nas pomniejszych złodziei. Czyżby w Republice Federalnej tak nisko ceniono życie ludzkie, że uczestników masowych mordów karze się łagodniej niż np. gangsterów, którzy obrabowali bank?

W odpowiedzi usłyszałam nieśmiało dukanie na temat „Befehl ist Befehl”, ale coraz bardziej cicho i nieśmiało. Czyżby ta przypadkowa rozmowa dała coś też kobiecie do myślenia? Wreszcie w rodzaju nieśmiałego usprawiedliwienia:

— No, cóż, my, mali ludzie, my się na tym nie znamy i nie mamy żadnych wpływów...

W sumie, uroczą, miłą pani, kochającą dzieci i małe pieski, pani, która się nie zajmuje polityką. I tu pomyślałam sobie, że przecież Republika Federalna gwarantuje swoim obywatelom prawo głosu. Ale takie syte, zadowolone z życia panie nie zajmują się polityką. Polityka — to obmierza rzecz. Najlepiej odwrócić się od niej plecami. Poznałam sporo takich ludzi, którzy wylewali sentymentalne łezki nad „biedną Polskę” — i od wszystkiego umywali ręce. Dobrze znana, tradycyjna moralność niepoprawnego mieszczucha. Ci ludzie na pewno nie wezmą udziału w Marszu V. kanonem, ani nie spojrzą na demonstrację studentów, ani nie przeczytają książki „Pinczera”. Nie wypadła. To nie jest „elegan”. Po prostu nie interesują się „brudną polityką”.

W naszych kontaktach z Niemcami zamieszkałymi niegdyś na terenie Wrocławia czy Gdańska, rozmawialiśmy z reguły na zasadzie dobrej woli, na zasadzie zrozumienia sentymentu

do miejsc gdzie mieszkali. W kontaktach z pewnymi ludźmi z Zachodu przekonałam się wkrótce, że tu nie tylko chodzi o sentyment. Krewini są znajomi jednego z lekarzy, który także pracował w NRD posiadając gospodarstwo rolne gdzieś na Śląsku, otrzymali z Niemiec zachodnich list od „byłego właściciela” tego gospodarstwa, jednego z przesiadkowców. List ten był niesłychanie miły, wręcz serdeczny. Autor listu dziękuję im za dobre prowadzenie gospodarstwa, i zapewnia o swojej wdzięczności, na którą mogą liczyć w momencie, gdy „brawowity właściciel” znowu wróci na „swoją ziemię”. Znana nam dobrze zasada — „nie uznaj i odzyskaj”. No, cóż, nie ma co rozkładać się nad ta sentymentalna tęsknota do „zimy ojczyzny”. Jakże często krewia w sobie te krokodyle łzy nienasyconą pazerność — „Drang nach Osten”.

W NRD spotkałam również sporo ludzi, którzy urodzili się na Śląsku czy w Gdańsku. W wielu wypadkach witano nas tym żywiołowiej. Spotkałam także ludzi mówiących trochę po polsku, dzieci mieszanych małżeństw. Wielu z nich bardzo interesuje się Polską i zachowuje ładny sentyment do ojczyzny ojca czy matki. Ludzie ci urządzili się na dobre w miejscu swego obecnego pobytu i nawiązyli przy okazji wspomina z sentymentem miasto, w którym niegdyś mieszkali, tak jak my po naszym czteroletnim pobycie w NRD wspominaliśmy Gęre czy Drezno. Są to przeważnie zresztą ludzie starsi. Młodsze rzadko już mówi na ten temat. Tei „tesknoty” nikt tu nie hoduje, nikt niczego nie obiecuje i nikt jej nie podsyca. A te „tesknoty”, o których była mowa w przytoczonej na początku scenie, to mł. hodowany pieczolowicie przez zachodni Niemiec odwetowców. Mł. mający prawo obywatelstwa nawet w handelku ulicznego przekupnia.

— Komu jeszcze, komu, torebkę ojczyźnej ziemi...

JANINA RZASA-ADYNOWSKA



Wrzesień 1939 r. - Najazd hitlerowców na Polskę

MACMILLAN O MONACHIUM

W Anglii ukazał się właśnie nakładem firmy wydawniczej „Thompson Newspapers Limited” pierwszy tom pamiętników Harolda Macmillana, premiera rządu brytyjskiego w latach 1957—63. Tom nosi tytuł „Winds of Change” i zawiera między innymi reminiscencje Macmillana o wypadkach poprzedzających Monachium, a także ocenę samego Układu Monachijskiego z 30 września 1938 r.

Macmillan rozwodzi się dość długo o pertraktacjach Chamberlaina z Hitlerem w Berchtesgaden i Godesbergu, potem przechodzi do meritum zagadnienia i wspomina:

„Na dobrą sprawę Układ Monachijski został uzgodniony i opracowany już podczas spotkania w Berchtesgaden. W dniach między 22 września — to jest spotkaniem w Berchtesgaden a 30 września, kiedy podpisano sam Układ w Monachium nie brakowało śpiewów dramatycznych. Jednak chodzący wtedy już tylko o to „jak” rozczłonkować Czechosłowację a nie o to „czy” ją podzielić. Zaczęto na Czechów od razu wywierać nacisk graniczny z cynizmem. W końcu rządu Anglii i Francji postanowili skierować do Pragi ultimatum — żądano kategorycznie ustępstw na rzecz Hitlera. Prezydent Benes, nie oglądając się na postawę partii politycznych swego kraju, usiłował zapewnić sobie pomoc ze strony Rosji. Bezskutecznie. W tej sytuacji rząd czeski w atmosferze granicznej z rozpaczą postanowił przyjąć anglo-francuskie ultimatum z 22 września. W międzyczasie Chamberlain został upoważniony do wyjazdu do Niemiec, aby na miejscu ostatecznie zaakceptować żądania Hitlera. Pojechał we wspaniałym humorze, przekonany, że groźny kryzys został zażegnany.

Ku jego osłupieniu, także oburzeniu, Hitler z niczym absolutnie się nie licząc stanął na stanowisku, że jego wojska powinny natychmiast wkroczyć do Czechosłowacji. Bez chwili zastanowienia odrzucił jakikolwiek kompromis w tej kwestii. Niemcy wykazali jeszcze raz całą brutalność. Ich wojska miały wdrzeć się do Czechosłowacji przy dźwięku zwycięskich fanfar. Natomiast Chamberlain i Daladier żyli wciąż nadzieje, że uda się zachować pozory praworządności, że „przekazanie” terytorium czeskiego w niemieckie władanie odbędzie się

stopniowo w sposób pokojowy. Oburzenie w Londynie i Paryżu było tak wielkie, że wojna wydawała się wtedy nieunikniona.

Obawiano się, że rozmowy mogą być zerwane w każdej chwili. W związku z tym wydano rozkaz o stanie pogotowia wojennego. Zmobilizowano mało zresztą efektywną służbę obrony przeciwlotniczej. W samym Londynie ustawiono kilka baterii. Zaczęto też z wielkim pośpiechem kopać parę niedźnych rowów w miejskich parkach. Rząd brytyjski zrozumiał nagle, że wojna czai się już niemal za rogiem.

Pomyślano również o ewakuacji dzieci z Londynu i innych wielkich miast. Między innymi 25 dzieci z przedszkola w Deptford trafiło do naszej posiadłości w Birch Grove. Zwolniliśmy dla tych dzieci dużą część naszego domu. Okazało się potem, że dzieci pozostały w naszej posiadłości, aż do Bożego Narodzenia. Ponieważ doszedłem do przekonania, że tak czy owak wojna jest czymś na dalszą metę nieuniknionym, poleciłem przebudować na użytek mojej rodziny niewielki domek wiejski. Do naszego domu wprowadziły się ostatecznie dzieci z dzielnicy Belham w Londynie i pozostały na miejscu do końca wojny. Potem urządzono tam szkołę, tak że mogliśmy wrócić do rodzinnej posiadłości dopiero po 15 latach.

28 września zebrał się Parlament. Deputowani do Izby Gmin byli wtedy gotowi na każde ryzyko. Oczekiwano z napięciem przemówienia premiera. Spodziewano się, że będzie ono podobne w tonie do słynnego wystąpienia sir Edwarda Grey’a z 4 sierpnia 1914 roku. Przypominam sobie chwilę gorączkowego napięcia poprzedzającego mowę premiera. I wówczas wydarzyło się to, czego nikt nie oczekiwał. Premier oznajmił, że jego ostatnia próba uratowania pokoju, więc propozycja konferencji

czterech mocarstw — została przyjęta przez Hitlera i Mussoliniego.

W Izbie Gmin zapanała natychmiast nastroj ogromnej ulgi. Wszyscy deputowani, po obu stronach Izby, podnieśli się jak jeden mąż na równe nogi. Wszyscy życzliwie przemówili słowa powołania w jego trzeciej podróży dla uratowania pokoju w Europie. Pod wpływem radoznego podniecenia jakie panowało na sali — powstałem razem z innymi. Wtem dostrzegłem człowieka siedzącego nieruchomo na swym miejscu z głową spuszczoną w dół. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Cała jego postać wyrażała wściekłość i rozpacz. To był Churchill.

Byłem wtedy świadkiem przegranej do Monachium.

Dalszy przebieg wypadków był stosunkowo łatwy do przewidzenia. Hitler zagarnął Sudety już podczas pierwszego spotkania z Chamberlainem. Brytyjsko-francuski plan polegający na zdradzie i sprządaży — czyżbyście Czechosłowacji. Co potem na stało było już tylko tragicznością. Cały plan zebrał Hitler nie podejmując nawet ryzyka niebezpiecznej kampanii wojennej. Kiedy niemieccy generałowie zobaczyli na własne oczy czeskie umocnienia graniczne nie krwili zaskoczenia — także wdzięczności dla fuhrera. Dzięki jego „intuicji” wywalczono wspaniałe, co ważne, bezkrwawe zwycięstwo. Później z ust Edena dowiedziałem się wiele o tym, co działo się w owym czasie za kulisami tych wypadków.

Foreign Office usiłowało wciągnąć do tych rozgrywek Rosję. Nie jednak z tego nie wyszło, gdyż premier oraz jego najbliżsi współpracownicy z góry rezygnowali z wszelkiej pomocy ze strony tego kraju. Zresztą w gabinecie ministrów nie było co do tego pełnej zgody. Wielu jednak nie godziło się na bezwarunkową kapitulację wobec Hitlera. Z tego względu premier szukał jakiegoś wyjścia z trudnej sytuacji, miał przy tym nadzieję, że Hitler mu w tym pomoże. Natomiast rząd francuski niczego więcej sobie nie życzył jak możliwości zrzucenia całego odium na Brytyjczyków...

Spółeczeństwo Wielkiej Brytanii ze swej strony wyczekiwało rozwoju wydarzeń z niezmaconym spokojem. Podano jednak do wiadomości publicznej, że w wypadku wybuchu wojny ataki lotnictwa spowodują w samej Anglii niewyobrażalne wprost ofiary w ludziach. Spółeczeństwo zdawało sobie też doskonale sprawę, że byliśmy absolutnie nie przygotowani do jakiegokolwiek konfliktu zbrojnego na większą skalę. Mimo to ludność Anglii przez cały czas kryzysu zachowywała wzorowy spokój i godność.

30 września o 2.30 nad ranem Hitler, Mussolini, Daladier i Chamberlain podpisał Układ Monachijski. W ostatniej chwili zgodzono się zaprosić do Monachium jednego lub dwóch przedstawicieli rządu czeskie-

go, ale tylko po to żeby podać im do wiadomości decyzję konferencji. Hitler i Mussolini opuścili salę obrad w momencie gdy na progu pojawili się Czesi. Wtedy to Czesi byli zaskoczeni przez swych przyjaciół gotowym ultimatum. Po upływie 12 godzin rząd czeski przyjął wszystkie warunki.

Chamberlain powrócił do Anglii jako triumfator. Zgotowano mu przyjęcie jakiegoś nie zasnął chyba żaden z żyjących mężów stanu. Być może w ten sposób wydawało się uczucie wielkiej ulgi po chwilach olbrzymiego napięcia. Wielu wyrażało szczerze swoje radość. Niestety Chamberlain w swym przemówieniu do tłumu wiwatującego w Downing Street użył kilku sformułowań, których potem musiał żałować. Mówił o „honorowym pokoju” także o tym, że zawarty układ oznacza „pokój na długi, długi czas”. Okazało się natomiast, że monachijski pokój miał bardzo krótki żywot, a właściwie nie oznaczał niczego prócz hańby. Mimo tego ze wszystkich krajów napływały życzenia, pozdrowienia i podziękowania. Rządy w dominiach nie posiadały się wprost z zachwytem. Nawet Roosevelt przysłał pozdrowienia. Mogło się wydawać, że wdzięczność naszemu premierowi wyraża cały świat. Poddawanie w wątpliwość starania premiera równało się wtedy zdradzie stanu — nawet bluźnierstwu.

Ja sam doznawałem również uczucia ulgi. Syn mógł spokojnie kończyć szkołę, mógł jesienią pójść na dalsze studia do Oxfordu. Moja rodzina była przynajmniej chwilowo zabezpieczona przed kataklizmem wojny. Wszystkim nam zdawało się, że znaleźliśmy się już nad samą przepaścią i nagle dziwnym zbiegiem okoliczności uniknęliśmy tragedii. Dopiero potem mieliśmy się przekonać, że wszystko polegało na oszustwie. Churchill i Eden wiedzieli już wtedy niejedno choć nie wiedzieli wszystkiego. Zнали kulisę zdrady dokonanej na Czechach, znali słabość brytyjskiego rządu, zauważyli pierwsze symptomy przyszłego załamania się Francji. Zdawali sobie też sprawę z zasadniczej zmiany sytuacji strategicznej w Środkowej i Wschodniej Europie. Zniszczone przeciwstawiła się „Drang nach Osten”. Ta siła była Czechy. Tym samym osłabiono cały Zachód, przede wszystkim uległ zmniejszeniu potencjał armii francuskiej. Mniej więcej 40 czeskich dywizji, które zagrażały Niemcom od Wschodu zostało rozbitych lub sparaliżowanych. Bez jednego wystrzału oddano w ręce wroga potężne twierdze nadergraniczne. W niemieckie ręce wpadły też wielkie czeskie magazyny broni. Budowany tak starannie przez Francję system obrony na Wschodzie został w ten sposób śmiertelnie uszkodzony.

Tymczasem Niemcy rozbudowywali gigantyczne wały obronne w

Nadrenii. Wtedy to Churchill oznajmił w Izbie Gmin, że Anglia i Francja „stała w obliczu dziejowej tragedii”. Chamberlain ze swej strony chciał uchodzić za zbawcę nie tylko własnego kraju, lecz wręcz całego świata. Uważał, iż wprowadzić należy współczesne Czechom za ofiarę jaką ponieśli, ale ta ofiara była konieczna. Czesi stali na drodze do trwałego pokoju... Chamberlain był może wierzył, że jeśli Rosję utrzyma się z dala od wpływu w Europie, jeśli zaspokoili się mocarstwowe ambicje Niemiec we Wschodniej i Środkowej Europie, jeśli nawet jedna czy dwie „kolonie” zmienią właścicieli, to mimo wszystko taka cena warta jest pokoju. Chamberlain tak był opętany swoimi ideałami, że nie zmienił poglądów nawet po zajęciu Pragi przez oddziały szturmowe Hitlera. Dawał nawet do zrozumienia, że skoro Czechosłowacja przestała istnieć to tym samym gwarancja Anglii w stosunku do tego państwa automatycznie wygasła.

W ten oto sposób wplenił się na pełnych żaglach do portu „Appeasement” — pełnych ustępstw. Ale błogie marzenie o pokoju miało już wkrótce przysnąć. Wiele w swym życiu przeżyłem politycznych konfliktów, które rozgrywało nieustępliwie i z dużym zacietrzewieniem. Wszystkie poszły szybko w zapomnienie. Monachium nie da się jednak wydrzeć z pamięci. Historycy jeszcze przez długie lata będą się zastanawiać czy Chamberlain miał rację, czy też jej nie miał. Czy było rzeczą dla Anglii sensowniej- szą pójść na pełne ryzyko nowej wojny? Czy było korzystniejsze podjąć rekawicę jeszcze przed Monachium, czy może rozsądniejszym okazało się przesunięcie terminu wojny o cały rok?

Pewnie, że na decyzjach naszego premiera zaważyły między innymi opinie szefów sztabu. Te brzmiały pesymistycznie. Wielka Brytania nie była w 1938 r. przygotowana do wojny. Podkreślano zwłaszcza niedostatki w uzbrojeniu lotnictwa. Z drugiej jednak strony dziś już wie my, że wówczas nie doceniano ani wartości czeskich umocnień granicznych ani wartości bolowej czeskiej armii... Poza tym Hitler zreczenie wykorzystał magiczne działanie „prawa do samostanowienia”. Och, prawo do samostanowienia, ileż zbrodni popełniono w imieniu tego prawa! — mógłby wykrzyknąć jakiś prawdziwy, a nie fałszywy wyznawca wolności. Z punktu widzenia międzynarodowego prawa jeszcze bardziej godna naganą jest postawa Francji w stosunku do czeskiego sprzymierzeńca. Przewódca Francji celowo zostawił wodzę polityki w reku Londynu, aby tym łatwiej rzucić potem całą odpowiedzialność i nieślawie właśnie na Anglików. Gdy by jednak stanowisko Wielkiej Brytanii było w tym konflikcie bardziej zdecydowane, to jest rzeczą niewątpliwą, że i Francuzi by się uszytywnili w swym oporze.

Jest również pewne, że większość członków ówczesnego rządu brytyjskiego była sparaliżowana lękiem przed strasznymi następstwami ewentualnej wojny. Ze źródeł poufnych słyszałem, że bombardowanie Londynu, także i innych wielkich miast mogłoby pociągnąć za sobą śmierć kilkuset tysięcy, może nawet kilku milionów ludzi. W 1938 roku wyobrażano sobie wojnę lotniczą mniej więcej tak samo jak dziś przedstawiamy sobie wojnę atomową... Czy w tych warunkach mógłby ktokolwiek z nas odważyć się na wypowiedzenie Niemcom wojny? Tak jednostronnego pytania stawiać nie wolno. Dlaczego w ogóle dopuszczono do zaostreżenia sytuacji? Czemu nie podjęto kroków celem zawarcia z Rosją jakiegoś układu o wzajemnej pomocy? Dlaczego zapędzono Anglię w położenie coraz trudniejsze, a jednocześnie nie podejmowano dostatecznych starań by wzmocnić obronność kraju? Dlaczego zgadzano się na coraz to inne ustępstwa choć od czasu remilitaryzacji Nadrenii — badało nierzadko ostrzeżenie, że dłużej tak nie wolno postępować.

Kto wie, czy wszyscy nie zastrzyżymy na nagane. Mogło się przecież wydawać, że naród angielski po wspaniałym zwycięstwie w pierwszej wojnie światowej, jakby okłapał, jakby stracił na pewności siebie, w latach dwudziestych i trzydziestych. Anglię pragnęli pozostawić światowym mocarstwem, nie chcieli jednak zapłacić ceny jaką zachowanie takiej pozycji od nich wymagało. Pragnęli pokoju, ale nie podejmowali takich wysiłków, które by pokój mogły zapewnić. Byli podobni do gracza, który koniecznie chce wygrać na loterii ale losu nie kupuje. Nie podjęło też żadnych kroków, które by mogły zapewnić zbiorowe bezpieczeństwo w globalnym wymiarze.

Działalność wreszcie jeszcze jeden czynnik. Była nim wrodzona Anglikom przyzwyczajenie, niechęć do mieszania się w cudze sprawy. Nigdy nie czytaliśmy „Mein Kampf” Hitlera, nie mieliśmy pojęcia o istocie ruchu jaki ten człowiek sobą reprezentował, ani o dalekosiężności roszczeń jakie ustawicznie żądał. Przypominamy też oczywiście o charakterze jego rządów. Dodać jeszcze trzeba, że Hitler potrafił wywierać nie mały magiczny wpływ na wielu swoich gości reprezentujących różne ugrupowania i grupy społeczne. Lord Lothian, Lloyd George, Lord Allen of Hurtwood, Lord Rothermere, Rom Jones, prof. Tobybee, Lord Londoney — wszyscy oni przez

krótszy lub dłuższy okres czasu pod dał się wpływowi osobowości Hitlera. To wszystko, a przez tego tak charakterystyczną niechęć Brytyjczyków do wszelkich zbrodni i wojny, spowodowało pogłębiający się upadek prestiżu i znaczenia Anglii w szerokim świecie.

Czy opłaciło się nam odsuniecie wojny o jeden rok?

Na to pytanie można równie dobrze odpowiedzieć twierdząco jak przecząco. W każdym razie w 1938 roku znaleźlibyśmy się w mniej niebezpiecznym położeniu, niż to miało później miejsce w 1940 roku. Armie francuskie miały przed Monachium pełną wartość bojową. Niemcy byłyby zmuszone w 1938 roku do walki na dwa fronty — na Wschodzie i na Zachodzie. Jest rzeczą prawdopodobną, że w tej sytuacji przez Czechosłowację walczyłaby z Niemcami również Polska. Niemcy musiałby przez tego liczyć się z czynnikami Rosji. Armia czeska przedstawiała w tych czasach dużą siłę bojową. Niemieckie lotnictwo musiałoby startować z bardzo odległych lotnisk, co przy ówczesnym

małym zasięgu bombowców nie było bez znaczenia. Jest prawdopodobne, że wówczas można by było uzyskać ponaradę Rosjan, którzy postępowanie mocarstw zachodnich w Monachium wyłożyli jako dobitny przejaw słabości nie tylko materialnej Zachodu, ale też słabości moralnej. Wreszcie i to jest możliwe, że niemieccy generałowie wywarliby na Hitlera zdecydowany nacisk, aby zrezygnował z nadmiernych roszczeń, albo, co jest też prawdopodobne, usunęliby Hitlera z drogi.

Oczywiście w tamtych czasach nie miałem dostępu do tajnych materiałów, na podstawie których mógłbym sobie wyrobić własny pogląd na bieg wydarzeń. Zaufałem jednak całkowicie Churchillowi — przychyliłem się też do poglądów polityków, do których żywiłem wówczas wielki szacunek. W każdym razie, podobnie jak wielu innych działaczy byłem przekonany, że Anglia powinna była podjąć walkę już w okresie Monachium. I po dziś dzień nie widzę powodów, bym to przekonanie miał zmienić...

J. B.

MAJSKI O WRZEŚNIU

I. M. MAJSKI swoje wspomnienia opublikował w trzech tomach pod wspólnym tytułem „Wspomnienia radzieckiego dyplomaty”. Obecny fragment, pochodzący z trzeciego tomu, dotyczy stanowiska rządów Anglii i Francji w stosunku do zaatakowanej przez Niemcy hitlerowskiej Polski.

O godzinie 5,30 rano 1 września 1939 r. bez wstępnego ultimatum i oficjalnego wypowiedzenia wojny Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę. O 5,40 rano Hitler w swym radiowym wystąpieniu zwrócił się do armii, oświadczając, że rząd polski odrzucił pokojową propozycję uregulowania spornych kwestii i dlatego jest on zmuszony odwołać się do siły zbrojnej. Jednocześnie dywizje Wehrmachtu przekroczyły granicę Polski od strony Prus Wschodnich, Pomorza, Poznania i Słowiacka. Luftwaffe rzuciła się z całą siłą na polskie miasta. W tym samym dniu, 1 września, nazistowski lider Gdańska Forster ogłosił przyłączenie tego miasta do Trzeciej Rzeszy.

Wymienione wydarzenia od razu postawiły rządy Anglii i Francji przed groźnym problemem: co robić?

Formalna odpowiedź na to pytanie była bardzo prosta. 31 marca 1939 r. Anglia i Francja przyrzekły Polsce jednostronna gwarancję jej całości i niezawisłości. 6 kwietnia tegoż roku, w wyniku oświadczenia polskiego ministra spraw zagranicznych Becka, ta jednostronna gwarancja została zamieniona na obustronna, z tym, że w przyszłości pomiędzy Polską a Anglią zostanie podpisana oficjalna umowa o wzajemnej pomocy (pomiedzy Polska a Francja taki pakt już istniał).

Rzeczywiście, 24 sierpnia 1939 r. Polska i Anglia podpisały podobną umowę. W ten sposób 1 września 1939 roku, gdy Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę, Anglia i Francja zgodnie z literą i duchem wymienionych umów, powinny były natychmiast i bez zastrzeżeń, z bronią w ręku wystąpić w obronie swego sojusznika...

Powinny były! Lecz tu właśnie zaczęto znajdować te podwodne kamienie, które odsunęły zewnętrzną politykę Anglii i Francji z drogi rozumu i honoru, popychając je na drogę głupstwa, hipokryzji i zdrady.

Opowiadałem już (w II tomie wspomnień) jak uparto sabotaż ze strony rządów Chamberlaina i Daladiera przeszkadzał w podpisaniu, tuż przed rozpoczęciem wojny, trójjstronnego układu o wzajemnej pomocy, która mogłaby przeszkodzić agresji hitlerowskiej i zapobiec napadom Niemiec na Polskę. Opowiadałem też o bezmyślnym politycznym zaślepieniu i lekkomyślności „rządu pułkowników” w Warszawie, zapewniającego chętnie, że nie jest mu potrzebna pomoc ZSRR dla obrony przed Niemcami hitlerowskimi.

Nie będę tego tu powtarzać. Wystarczy powiedzieć, że 1 września 1939 r. w Anglii i Francji w władzy stali ci sami Chamberlain i Daladier, którzy przed chwilą zerwali podpisanie trójjstronnej umowy o wzajemnej pomocy. Oto dlaczego pierwsza myśl premierów Anglii i Francji przy otrzymaniu wiadomości o groźnej sytuacji w Polsce, myślała, która oczywiście, nie była wywołana głośno, lecz która dominiowała w ich świadomości, było: czy nie można w jakiś sposób uchylić się od wykonania danych Polsce zobowiązań? Mówię wprost o istnieniu takiej myśli u Chamberlaina i Daladiera, dlatego, że jak zobaczyliśmy niebawem, ich poczynania w ciągu następnego miesiąca okazały się dokładnym wcieleniem jej w praktyce.

Formalnie biorąc, wydarzenia rozwijały się tak: 1 września o godz. 9,40 rano, ambasadorzy Anglii i Francji w Berlinie wręczyli Niemiec

za minutą oznaczającą stratę tysięcy ludzkich istnień, oznaczającą groźbę dla naszych narodowych interesów, a najgłośniejsze — naszego narodowego poczucia honoru. Dalej czekać nie można. Kości zostały rzucone.

Wynikiem opisanej sceny, a także ciągle wzrastającego niezadowolenia mas, było to, że w niedzielę 3 września o godz. 9 rano, angielski ambasador w Berlinie wręczył rządowi niemieckiemu notę, w której zawiadamia, że jeżeli w ciągu dwóch godzin nie nastąpi zgoda Hitlera na wycofanie niemieckich wojsk z Polski, Anglia wypowie Niemcom wojnę. Analogiczne demarche wystosował ambasador francuski w Berlinie, z tą tylko różnicą, że termin francuskiego ultimatum upływał nie o godz. 11, lecz o 17 dnia 3 września.

Hitler, oczywiście, pozostawił „odezwę finałową” Anglii i Francji bez odpowiedzi i o godz. 11.15 Chamberlain w krótkim wystąpieniu radiowym był zmuszony ogłosić stan wojny pomiędzy obu państwami.

Tegoż dnia rano odbyło się posiedzenie parlamentu. Premier był godny pożalowania i przybity. Jego głos był głuchy i naderwany.

— Jest to smutny dla nas wszystkich dzień — mówił Chamberlain — lecz dla nikogo nie jest tak smutny jak dla mnie. To wszystko, czemu poświęciłem swoją pracę, wszystko, co było moją nadzieją, wszystko co było moją wiarą na przestrzeni mojej społecznej działalności, wszystko to dziś leży w gruzach.

Siedziałem na swoim miejscu na galerii dla ambasadorów i myślałem: „Zbierasz owoce własnej głupoty i intrygi. Rydwan sprawiedliwości, choć rusza się powoli, jednak się rusza i teraz dostajesz się pod jego koła. Szkoda tylko, że za twe przestępstwa wypadnie płacić szerokim rzeszom”.

Greenwood w imieniu partii laburzystowskiej obiecał pełne poparcie rządowi w walce przeciwko hitlerowskiemu Niemcom. To samo uczynił A. Sinclair w imieniu partii liberalnej, Lloyd George oświadczył, że choć w przeszłości często krytykował zewnętrzną politykę rządu, to teraz, w powstałych okolicznościach uważa za swój obowiązek doprowadzić do wojny.

Na tym posiedzeniu wystąpił również Churchill. Ostrzegł on przed zbyt lekkim traktowaniem wojny —

— Nie możemy nie doceniać — mówił — wagi stojącego przed nami zadania, czy surowości nadchodzących dla nas doświadczeń... Winniśmy oczekiwać wielu rozczarowań i wielu nieprzewidywalnych niespodzianek, jednakże możemy być przekonani, że Imperium Brytyjskie i Republika Francuska są wystarczająco silne, by poradzić sobie z rozwiązaniem powstałego problemu.

Na zakończenie, jedynie w Izbie Gmin, komunisty W. Gallacher oświadczył, że pragnie szybkiego i pełnego rozgromienia nazistowskiego reżymu jako jedynego drogi do ustanowienia długotrwałego pokoju na świecie.

Obserwowałem z uwagą to wszystko, co działo się na tym historycznym posiedzeniu Izby Gmin, a w me głowie przebiegały czasy kolatały myśli: „Chamberlain i Daladier przebadali na egzaminie z zapobiegania wojnie — jak teraz wytrzymają na egzaminie z dotrzymania, przynajmniej swych zobowiązań wobec Polski?”

Czekać wypadło niedługo.

* * *

Teraz wiadomo dokładnie, że Hitler rzucił na Polskę 57 najsilniejszych

dywizji (w tej liczbie 8 zmechanizowanych), że lotnictwo niemieckie bombardowało polskie miasta, liczyło 2.000 najbardziej nowoczesnych w owym czasie maszyn, że wielka ilość czołgów, samochodów pancernych i dział artyleryjskich gwałtownie zwała się na ziemię polską. Temu straszliwemu uderzeniu Polska mogła przeciwstawić jedynie 31 dywizji (w tej liczbie jedynie 2 zmechanizowane), 800 samolotów, z których tylko pół można było zaliczyć do nowoczesnych, dość skromna ilość armat i zupełnie niewielka ilość czołgów. Prawda, że Polska miała 11 brygad kawalerii, lecz co one mogły zrobić czołgom i samochodom pancernym?

Wtedy nie wiedziałem o tych wszystkich szczegółach. W pełni nie znały ich zapewne rządy Anglii i Francji. Jednakże od pierwszego dnia wojny niemiecko-polskiej stało się jasne, że na Polskę spadły ogromne siły, o wiele przekraczające jej własne, i że Hitler postawił na przysłowiowy „Blitzkrieg”, o którym tak dużo krzyczyli nazisci w minionych miesiącach. W takich warunkach, wydawałoby się, była potrzebna wielka energia i bystrość, by nieść pomoc ofierze agresji. Anglia i Francja, wydawało się, winny były bez zwłoki odciągnąć na zachód chociaż część sił niemieckich operujących w Polsce. Właśnie one powinny natychmiast i na serio zaatakować Linie Zygryda i zasypać bombami niemieckie ufortyfikowania i miasta. A jak było w rzeczywistości?

Cytuję niektóre wytykaczki z notatek, które prowadziłem w pierwszych miesiącach wojny:

„4 września. Chamberlain zwrócił się przez radio do narodu niemieckiego z przemówieniem w języku niemieckim. Lotnictwo angielskie rzuciło bombę na niemieckie okret wojenne w Wilhelmshaven i Brunsbuttelkoog. Wyrzadzono szkody. Niemcy nie odpowiedzieli. Samoloty angielskie rzuciły nad Niemcami 6 milionów ulotek.

5 września. Samoloty angielskie rzuciły nad Zagłębiem Ruhry 3 miliony ulotek.

6, 8, i 9 września. Samoloty angielskie znów rzuciły nad Niemcami ulotki.

24-25 września. Samoloty angielskie znów rzuciły nad Niemcami ulotki. Od rozpoczęcia wojny zrzucono ogółem 18 milionów ulotek”.

Francuzi postąpili wcale nie lepiej. Oto kilka charakterystycznych wytykaczki z tychże notatek:

„4 września. Pierwszy francuski wojenny komunikat: operacje rozpoczęły się na ziemi, na morzu i w powietrzu.

5 września. Drugi francuski komunikat: armia francuska zeknęła się z przeciwnikiem na całej długości pomiędzy Mozela a Renem.

6 września. Trzeci francuski komunikat zawiadamia o poszczególnych przebiegach przez wojska francuskie granicy w pasie „ziemi nicyzej” (tak nazywał się pas szerokości 3-12 mil, oddzielający Linie Maginota od Linii Zygryda).

10-16 września. Komunikat francuski informuje o systematycznym ruchu wojsk francuskich w pasie „ziemi nicyzej”.

22 września. Z frontu zachodniego informacja o nasileniu artyleryjskiej aktywności w lokalnych potyczkach na południe od Saarbrücken.

24 września. Komunikat francuski odnotowuje, że w ciągu nocy zostały odrzucone liczne lokalne ataki przeciwnika na „nasze przednie pozycje” w rejonie Saary. Ponadto do

dale się, że we francuskich dojrzałych poinformowanych kołach pozycja na froncie zachodnim test scharakteryzowana jako „pozycja strategicznego wycokiwania”.

Wszystko to odbywało się w momencie, gdy Polska stała w ogniu, kiedy armie niemieckie rwały na cześci jej powierzchnię, a niemieckie lotnictwo zarzucało bombami jej miasta, kiedy decydowały nie tylko dni, lecz godziny i minuty!

Zachowanie się anglo-francuskich kół rządowych zakrawało na zwykłe kpiny nad znajdującym się w niebezpieczeństwie sojusznikiem, toteż w obu krajach u ludzi bardziej szczerze wywoływało to rumieniec wstydu. Pamiętam, jakoś w połowie września, spotkałem w parlamencie Greenwooda. Zaczeliśmy mówić o wojnie niemiecko-polskiej, Greenwood był wystraszony.

— To przerażające! Przerażające! — wykrzyknął. — Nasz rząd dał najbardziej uroczyste przyrzeczenie przyścia Polsce z pomocą w wypadku niemieckiej agresji, a co my robimy? Nie można przecież uważać za pomoc pożyczkę na sumę 8,5 miliona funtów dana rządowi polskiemu! Nie posłaliśmy do Polski ani jednego samolotu, a własne samoloty wykorzystujemy do zrzućania nad Niemcami nikomu niepotrzebnych ulotek!

Greenwood był jednym z najsilniejszych przedstawicieli laburzystowskiej góry, toteż nie wahałem się w jego subiektywną szczerść. Lecz to nie miało praktycznego znaczenia: cała polityka partii laburzystowskiej w ciągu wielu lat zrobiała z niej poniekąd kół rządowych krajem. Nie mogła partia laburzystowska i teraz uniknąć odpowiedzialności za zdradę Polski, dokonana przez rząd brytyjski.

Innym razem spotkałem się w kularach parlamentu z liberalnym deputowanym Manderem. Był w rozpaczy. — Nie pojmuję polityki naszego rządu — mówił ze zmartwieniem — stoł ona w ostrej sprzeczności z wszystkimi tradycjami, naszymi obietnicami o honorze i hańbie! Wład mi wrócić na świat.

Wynik jest znany. Churchill w swych wojennych wspomnieniach pi

szcze: „Polskie siły powietrzne zostały zniszczone w ciągu dwóch dni... Pod koniec drugiego tygodnia armia polska, oficjalnie licząca ok. 2 mln. żołnierzy, przestała istnieć jako siła zorganizowana”.

17 września prezydent Polski Mościcki i „rząd pułkowników” na czele z Beckiem uciekli z kraju do Rumunii.

Państwo polskie, stworzone przez konferencję wersalską, przestało istnieć. Na jego terytorium pozostały poświecyce ogniska oporu, z których najważniejszym była Warszawa. Okrążona ze wszystkich stron przez Niemców, bohatersko walczyła do 28 września, lecz w końcu padła pod ciętami wroga.

Kiedy to się dokonało i Polska leżała ostatecznie zmiażdżona, 30 września Panie, przymusiąc przedstawicieli polskiego duchowieństwa, wygłosił „uczuciową” mowę, w której, między innymi, powiedział: „Chrystus, który wylewał krew po śmierci Łazarza, kiedyś wynagrodzi was za te łzy, które wy wlewacie za tych co padli za Polskę”.

A do 1 października 1939 r. stało się zupełnie jasne, że Chamberlain i Daladier na egzaminie z wypełnienia swych obowiązków przed Polską przepadli chyba w jeszcze większym stopniu niż na egzaminie z zaniechania wojny.

E. I.



Wrzesień 1939 r. — W sztabach alianckich spokój i herbata

Sprzedaż Babianny za parę koni powóz i kółka krakowskiej uprząży

(MELODRAMAT NIBY ORIENTALNY)

I

Tutaj rosły brzozy, topole, wierzb, cyprysy, w oknach — fikusy, palmy daktylowe, cytrusy; na półkach sklepiu kwitły straki nieprzypuszczone; tu, w tym sklepiu, zakwitło serce moje przekute lancetem weterynarza.

W handlu masowym owoce południowe nie świeciły zbytniego triumfu, stad Babianna Łukojemska, sklepikarzówna, edm uległ chęci spożywać z nią całego funta daktyli, nie mogła się wydziwić memu utracusztwu.

— Jest pan człowiekiem nie na co dzień — rzekła.

— Babianno ma, Babianno — zaśpiewałem do wtóru gitary. — Powiedz tylko, a księżyc przyprowadzę do ciebie na powrót, Wschodni, a rzuce do twych stóp wszystkie gwiazdy. Jestem tylko praktykantem drogowym, ale trakty niebieskie są też ma specjalnością.

— Dziwny pan ma stosunek do kobiety — rzekła. — Na przykład weterynarz: on tak upraszcza wszelką delikatność.

Jeszcze raz pochwyciłem jej dłoń. Była miękka jak liść lewkoni w czasie skwaru. Śliczna była wieś, co ja jeszcze dziś nazywam w marzeniach Palermo; śliczna rzeczka, co ja czarownic moich snów przemieniała co noc w sycylijską fontannę Aretuzy; śliczna droga — na niej lakierowane polazdy wzniesły obłoki popielatego kurzu; śliczna za sklepikiem miedza — do niej zachodzące słońce toczyło się szybko jak po płacach Sahary.

Lecz najśliczniejsze było niebieskie niebo. Na jego tle żółty sklepik Babianny błyszczał szludem wspaniałości. Na tym szludzie był namalowany lew wkładający łeb w neto kabanosa oraz stanęte chłostaczny bagietom chmury... Woznica ten miał na głowie krakuski szapoklak, zaś spoza wstałki tego składanego cylindra wystreliwały kwiaty, nierzeczywiste jak w dzunglach malowanych przez celnika — Rousseau.

2

Konduktorzy obsługujący autobus podaje do Smogorzewa do Palermo, gdy patrzyli w twarz Babianny, opóźniali swe odjazdy; szoferzy prowadzący ciężarówkę ze zbożem, gdy przejeżdżali obok jej sklepiu, ścisali swe motory; miernicy wycieczający granice, słysząc jej głos, zapominali o swych teodolitach, lecz ja zaczynałem wtedy uczyć się pisać.

Albowiem pisałem w listach do niej: „Mila Babianno! Wczoraj znowu stałem pod Twoimi oknami jak pięć miliardów artystów, zdolnych jeszcze do dziełeczek tkliwości... Było mi bardzo miło kroczyć przez wieś z piwoniami wełnietą za ucho — i krzyknąć ze szczęścia: Allah, alla... laaa, aloo! Dominik Przebiśnię!”

Odpisała: „Uśmiełam się serdecznie, bo to bardzo zabawne, kiedy dorosły mężczyzna maszeruje przez wieś z kwiatkiem wełnietym za ucho... A jeszcze zabawniejsze, że tylko jedna osoba wzdycha, a zdaje się jej, że wraz z nią wzdychała miliard”. I na zakończenie dodała: „Wiedząc dziś na zabawę z tatustem i weterynarzem”.

Jakbym miał dwanaście lat, nie — dwadzieścia, odbierałem jeszcze tego samego dnia: „Kochana Panno! Jest mi tak ciężko na duszy, że nie wiem, co począć, dokąd pójść. Chyba wnet umrę z głodu, bo straciłem łaknienie, każdy kęs smakuje mi, jakbym już jutro miał być stracony... Ale gdybyś wleździła wieczorem, to proszę cie: włóż ażurowe, przezroczyste rekawiczki w charakterze amuletu; także piwonie wewni w swe włosy. Ona cie uchroni przed złem, co legnie się w każdym bujnym kwiecie. Na kłęczkach ostrzegam cie: bój się jednak leśnego weża; mężczyzny włoconego w białowy garnitur... Bój się weterynarza... On należy do tej samej czeredy wschodnich rozpusztników, co skupowali dziewczęta od swych haremów... Zaczynam piwonie o barwie mlecznego jadelu, Dom, Przebiśnię!”

Odpisała: „Mili Dominiku! Uczyniłam, jak sobie życzyś. Ty jesteś mój Pan, ty jesteś wszyst kol... A co do mego wjazdu, to nie jestem rzymską niewolnicą ani odaliską, kupowana na wase pereł i klejnotów... Ojciec mój też nie będzie Arabem sprzedającym córke za parę koni i uprzęż z kółkami... Bode na zabawie w zajeździe; będzie tam zapewne trochę innych gości; między nimi masarz Odrzygalski, ale przecież bode taka, jaka jestem. Zaczynam suszony kwiatek, Bab”.

Gdy pomyślałem o tej zabawie, na której moja Śliczeczka Babianna będzie bez swego Przebiśnięga, wówczas stworzyłem wierszyk,

który wydusił ze skronionego kawa i mię tówka brulionu:

„To było, miła, tak:
Ja, ty i torów szlak.
To było, miła, tak:
Ja, ty i słowa mgła,

Jesienny semafor
oclekał iza,
a ty myślałaś, że
to broczy serce me”.

Ale gdy siostry Babianny, kaleki o cudacznych klasztornych imionach: Eufrozyna i Kordula, doniosły mi, że ich ojciec zabrał do zabawy ma miła za rzeko — i to z weterynarzem, przysomniało mi się z „Książki zażaleń” Antoniego Czechowa: „Pani żandarmowa wyjechała z bufetowym za rzeko”. I dopisałem dwie inne zwrotki, zdawało mi się, że ostatnie w moim życiu. Potem ściągnąłem strzelbę z gwoździa; wetknąłem kwacz w lufę, żeby ją wyczyścić.

Po namyśle wyjąłem kwacz z lufy. Jutro przecież muszę być na drodze; budujemy mostek typu Biernackiego; ani maister, ani cieśle nie bode mogli obejść się beze mnie.

Gdy mostek osiadł pięknie na swych „krzesłach”, udałem się do lasu, żeby śpiewać wesole piosenki. Po pracy postanowiłem odwiedzić siostry Babianny w ich pokoiku za ogrodem.

— Siostry moje, siostry powierniczki — rzekłem. — Jeszcze przecież nie wszystko przegrane. Po środzie nastaje czwartek, po czwartku piątek. Ale po piątku, żeby nawet najprzyczekniejszy był nasz czterdziestoświeciogodzinny tydzień pracy, to po piątku zawsze nastaje radosna angielska sobota.

Rozpłakali się ze szczęścia. Pobiegły do ogrodu, żeby mi narwać kwiatów. Wróciły z nareczami flosków, spoza których prawie ich nie było widać.

— Panie Dominiku — jęknęła Kordula, a twarz miała tak zasmucona jak dziewczyna z obrazu Burne Jonesa „Król Kofetua i dziewczę żebrzące” — bedziemy dbać, żeby wasz wspólny żywot był jedna nieustająca niedziela. Ale... — tu spojrziała pytająco na Eufrozynę.

— Żeby do końca waszego życia trwał jeden nieustający Kinderbal — dodała Eufrozyna; a jej twarz była podobna do smutnego oblicza ryceza w złotym hełmie, pedzła Rembrandta. — Ale czy bedziemy mieli tyle sił, jeśli Babianna ulegnie?

— Przecież weterynarz obiecuje za Babiannę powóz z zaprzęgiem — zabiadała Kordula.

— I jest właścicielem młyna i willi z cudnymi szklarniami belgijskimi — zmarszczyła czołko Eufrozyna. — Czy jest kobieta, co by się mogła temu oprzeć?

Ziemia zadrdzała pod moimi stopami, jakby w nią trafla jakaś inna planeta. Postanowiłem czekać na najgorsze z palcem dotykającym drugiego oporu cngla. A gdy siostry doniosły mi, że ojciec zabronił Babiannie spotykać się ze mną, nawet jej zagroził, że ja zamknę, zdecydowałem rozprawić się z rywalem nie baczac na następstwa.

3

Leże w pokrzywach za płotem, żeby widzieć przyjazd weterynarza. Siostry Babianny mają dać znak, gdy konował będzie nadjeżdżał.

Nie muszę widzieć znaku, żeby słyszeć, jak dudnia kopyta po mostku. I oto widzę, jak jedzie. Nauczyciel i prezes spółdzielni biegną, żeby mu podać ręce. Ale on salutuje im tylko batem, skreca ku zagrodzie Łukojemskiego, w pośpiechu wsiada niemal głowa w dół.

Siostry Babianny patrzy roziskrzonymi oczami na grube pierścienie na palcach weterynarza, on zaś ma tak dęta minę, jakby w każdej kieszeni miał po jednej złotej papierosnicy.

Ten powóz, co nim przyjechałem, panie Łukojemski! — rzecze weterynarz — te konie, tak jak było mówione, to wszystko, co na tych koniach, i to, co w tym powozie, i co jeszcze może się w nim zmieścić, to będzie pana. Albowiem rozgrywa się dusza moja przy Babiannie.

Łukojemski wyprowadza córke za rączkę. Pora jest przesycona pachami ulatujących ostów, iskierkami babiego lata. Babianna jest tak niezmiennie śliczna, że nawet nie czuje szkła wiojącego mi się w uda. Suknia na niej błyszcz jak obłok stratosferyczny. Jej drobne nóżki o podbieciu, pod którym czyż mógłby się zmieścić, takie ono wysokie, przypominają mi nóżki koźlicia prowadzonego na rzeź. Obok niej triumfują giczyły weterynarza w brzygzach i sztylpach.

Naciskam tedy drugi opór cngla, ale broń nie strzela. Przykrećcam obłuzowana

śrubkę, ale strzelba nie działa. Widzę weterynarza nachylającego się do ucha Babianny i zdaje mi się, że wszystkie rzeki wystąpiły ze swych brzegów.

Po południu udałem się do siostr Babianny, żeby mnie ratowały.

Ale one — szarżelone z przejęcia — już szły wyprawę ślubną dla swej siostry. Pośród białych web, nansuków, dymek, batystów, z rurkami papilotów sterczącymi jak rogi, warczyły na swych maszynach jak motocykliści. Nawet nie słyszały, że jestem.

Wreszcie Eufrozyna, drenawszy jakby ja prad konnał, zwróciła ku mnie swe oczy i podała mi ma piwonie owinięta w papier. — Te podespata piwonie znalazłyśmy za młynem — wiaśniała.

— A te rekawiczki — rzekła Kordula — ten wasz amulet, znalazłyśmy sponiewierane pod dółką czeresnia.

Długo w nocy mocowałem się z wiatrakiem Łukojemskiego, żeby go zatrzymać. Wreszcie, gdy mi się to udało, zacząłem wyć jak wilk. Nad ranem plan miałem gotowy: ukradnę broń gajowemu.

Ale gajowy akurat udał się na swój rewir; zabrał broń z sobą. Umówiłem więc co innego: — Jeśli Babianna padła ofiara zmysłów, to musiał ją odmienić jakiś czarodziej. Jeśli zaś spodobaly się jej dostawki weterynarza, to musiał ją odmienić czarownik, przemieniający anioły w prosięta, armie walecznych rycezy — w stada baranów, wielkie księżniczki w domywaczki... Jeśli jednak nie stanela jeszcze cała nóżka na desce straceń, to porwe ja i odczaruję!... Oooo — zacząłem wyć jak szakal — miłość po ostatecznym jej przeplawianiu i wyciągnięciu z niej logarytmów to coś bardziej złożonego niż dwa dodać dwa — jest cztery!... Póde do Łukojemskiego, spróbuje z nim porozmawiać.

4

Ojciec Babianny miał na głowie fez, czerwony jak piwonie. Palik nargil w długiej do kostek fajce. Co jakiś czas puszczał dym na mszyce, niszczał mu nasturcie — i spoziierał na dwa jabłkowite konie, świecące przed domem krakowska uprząż. Weterynarz zaś, oporząły jak król Baltazar, siedział na werandzie za drewnianymi kratami, palił cygaro, Babianna natomiast mu



siała się wtedy cesać. Bo przecież wywiezał z okien nitki jej włosów, mieszał je z nitkami babiego lata.

Przystąpiłem tedy do rzeczy: — Jak to może być, drogi ojciec swej córki — rzekłem. — Czy może być, żeby to, co się ma... ku sobie, było... od siebie? Zaś to, co jest na odsib, miało być kobiecie?... Każ pan wyjść Babiannie. Ona powie, czyja ma być.

— A co pan daje za to, co chciałby wziąć? Mój własny sklep, mój ogród, mój sad? I do tego swoja gitarę, swój gramofon i swoja fuzjke na wróble?

„Ho, ho — śmieje się Arab Łukojemski. — Ona będzie większa pania u kogoś znacniejszego. Ho, hooo — macha ręką — pan przecież nie posiada ani jednego kółka do takiej uprząży jak ta!”

To mówiąc chwytła za ramię, szarpie uprząż podarowana mu przez weterynarza, a uprzęż brzęczy, aż się soloszone konie podrywa.

— Cóż znacza te brzękadła? — mówię. — Chociaż na stanowisku praktykanta nie zarabiam więcej niż sto trzydziści złotych, to dałby Bóg, żeby pan weterynarz Odrodniczy (tak nazywał się ów jaźwiec, co wrzył się pod próg naszego szczęścia), żeby masarz Odrzygalski, żeby wszyscy nauczyciele, żeby nawet pan sam, panie Łukojemski, mieliście tyle bogactw, co ja! — Tu zataczyłem wielki łuk reką, przyciągnąłem do siebie całą moją chudobę: ziemską i niebieską. — Bo to wszystko, co nas otacza, i co widzimy

wie dnie i w nocy: to niebo usiane gwiazdami i chmurami; te wspaniałe dąbrowy, kapiące wszystkimi kolorami jesieni i wiosny, i huczace wiatrami jak młyn, ten dorodny platan nad rzeczką, w którym drożd uwił sobie gniazdo; ten wiaz nauczyciela starczący wszystkim szpakom za gaj; ta rzeczulka przemieniająca się w fontannę Aretuzy; ten cwieczorny pociąg Paris — Niegoretoje, wywalający się zza zakretu w snopach iskier — i gwizdający na pohybel wszystkim takim Sancho Pansom, jak pan!... weterynarz! i jego poniterzy: światowi, krajowi, powiatowi i gminni — to wszystko jest moje!... Poeta huknie w dąb, a wyczaruje siolot!... Każ pan wyjść Babiannie, ona powie, co czyje ma być!

Ale Babianna nie wyszła. Zamiast niej wyszedł weterynarz. I haukał na mnie jak brytan: — Jeszcze pan Dominik łachmył ma rubrykę w powiatowym „Rolniku-Bartniku”, co ja zapelnia swymi bazgrołami. To rzekłszy wyciągnął ręce, ale nie do mnie, lecz ku mecenasowi. Albowiem rzecznik prawa właśnie zsiadał z motocykla, żeby spisać intercyzę.

W nocy do wtóru deszczu, który rozchlaśtał się, jakby wszystkie romantyczne moce niebieskie otworzyły swe służę, żeby rozpuścić cały świat w wodzie, napisałem ostatni list do Babianny:

„Babianno! Już nie bode stał u Twojego płotu jak pies u dna nocy. Do mego namiotu, jak do wilgotnej oazy, tesknia wielbłądy ze wszech szlaków Palermo. Oto zbliżają swe głowy. Oczy ich błyszczą rzewnością gazeli.

Zanurzają swe wargi w czystość izar, szepca tkliwie swe czułość wielbłądy. Potem tańcza jedwabnie, lekko — do Proroza w zielonym turbanie.

Oto wszystkie wydmwy powtarzają jego barwę. Palmy daktylowe w tym świetniu turbanu powiewają lakierowanymi pióropusami.

Allach il Allach! Bądź pozdrowione Palermo, a wraz z nim szyl z lwem w pocię kłębasy. Allach il Allach”.

Do tego listu, zamiast strzelać, dołączyłem wiersz:

HIQB I SANCHO PANSA

I

Wciąż widzę Sancho Pansę, wciąż dla mnie mokry świt! Jak wieździ na swym osie na twojej laci szczyt. Rozgląda się, pan władny, obchodzi dom, i wiaze swego osła do twej pergoli krat.

Obmierzy dżdzu jesienny, pokad ten wichrów chór i ryk łubalny klonów, i gwiazd blaszanych rur? Szuszczące sito deszczu! czemu Rosynant rzy? Tam osiół Sancho Pansy jak pies zmoknietw drzy.

II

Wciąż widzę Sancho Pansę, jak z nią ubija targ. Jej oczu zielen siorbie, jej czerwien spłia war. I trze jej dekol, szyje — i wgniata pysk w jej pierś... O druhu Rosynancie, w sztorz przyrząd mnie stad nieś!

Nie bode tu we wzgardzie jak Hiob na gnoiu wiańd nie dla hidalga kleska i poniżenia trad. Niech Sancho-weterynarz tu jak w Toboso kłnie, niech puszy się jak basza, niech w swe policzki dmie!

O druhu Rosynancie, poczwórnym cwałem rusz! Z hidalgiem swoim wiernym wciąż kopie jego krusz! Za liczman, za szton z drewna miel konowalów miedź! Przez skały Zaragossy do Andaluzji wleć!”

List chciałem przeczytać siostróm Babianny. Ale one, pilane barwami przeróżnych — nazwożonych z całego świata — czesucy, sztyfonów, nantungów, żorzet, cwa lowały na swych Singerach, jakby nitki dla nich nie istniały.

Z oczami rozlarzonymi jak po wypiciu blekotu, leciały w oród, badeay tkanin przedłużeniem. A potem zapewne szybowaly dalej: w siną kreskę horyzontu, gdzie zaczyna się i kończy firmament. Tam, piszcząc jak sójki, uchwyciły się za rączki i leciały jeszcze dalej. Do tego cudnego wyraju snów, gdzie wszystko jest bez garbów — urodził Rzymianie albo Beduini znoszą je z drewnianych rusztowań, układały w rydwanach; wioza do swych dormitorów lub namiotów — jak najbliższe dziełeczko Arabii czy Scytii. Konie też sa tam inne: w szamerowanach czaparakach, haftowanych przez same stare panny, i piękniejszych niż wszystkie czaparki świata.

(Ze zbioru miniatur i miniatur pt. „Z notatnika prowincjusza”, który za kilka tygodni ukaze się nakładem „Czytelnika”).

JANUSZ TERMER

Takie nasze
dzienne sprawy
albo literatura
proletariackiego
autentyzmu

O Antonim Kasprowiczu
pisał w przedmowie do jego
„Wierszy wybranych” (1981),

Władysław Broniewski: „Nie jest on jak autorowie „Trzech salw” rewolucjonistą z wyboru, ale autentycznym łódzkim proletariatem, pisze więc „o sobie” (...) Wiersze „Ja”, „Matka”, „Ojciec” — to kartki z jego autentycznej biografii, szare i gorzkie, ale jakże pełne rewolucyjnej zawziętości i woli walki. Mamy tu więc poezję proletariackiego autentyzmu”. Po lekturze debiutanckiego tomu prozatorskiego (jako poeta debiutował w 1935 r.) Kasprowi-

wicza: „Złodzieje owoców” (1964) oraz po lekturze jego najnowszych tomu opowiadań, śmiało możemy powiedzieć, że mamy tu w ogóle do czynienia z literaturą proletariackiego autentyzmu.

Daleki od socrealistycznej sztampy i schematyzmu, bliższy jest A. Kasprowicz tradycji wczesnej twórczości Gorkiego, niż któregośkolwiek naszego pisarza z lat 50-tych. Tajemnicę tego pi-

nił kiedyś w „Ogłosach” Jan Koprowski: „Gdy czyta się te opowiadania, ma się przekonanie, że ich urok i siła leżą poza wszelką formą. W samym materiale w samej obserwacji, w samym autentyzmie opisywanych postaci i wydarzeń...”. Dodać tu jeszcze wypada słów parę o samej metodzie pisarskiej Kasprowicza. Otóż, wydawać by się mogło, że technika naturalistycznej obserwacji życia, w tym wypadku, ludzi z przedmieścia przemysłowego

miasta, dawno już została wyeksploatowana i do niczego służyć już nie może. Lecz Kasprowicz nie jest naturalistą, jest można powiedzieć „realistą krytycznym” — w historycznym tego terminu znaczeniu. To znaczy, że materiał obserwacji, te „takie nasze dzienne sprawy”, traktowane często z dużym poczuciem prawdziwie ludowego humoru, są dobierane starannie i nieprzypadkowo komponowane tak a nie inaczej (for me i to wyraźnie określona

te opowiadania jednak mają, z tym, że oczywiście jest to forma „niedziszysza” i niemodna).

Główną zasadą kompozycyjną tomu opowiadań „Pod kwitnącym kasztanem” jest stałe stosowanie kontrastu i tworzenie przez to dwu planów narracji: to co bezpośrednio w opowiadaniu jest (perypetie życiowe ludzi z przedmieścia), kontrastuje z tym drugim planem narracji — domyślnym, dedukowalnym dzięki naszej znajomości stosunków spo-

POLA WERT

10 LAT ŁÓDZKIEJ TELEWIZJI

10 lat temu 22 lipca 1956 r. odbywa się w Łodzi uroczyste otwarcie stacji telewizyjnej. Telewizja krajowa liczy sobie wówczas zaledwie 3 lata. Otwarcie 30 kwietnia 1956 r. (tak jest, niespełna 3 miesiące przed łódzkim!) Warszawskiego Ośrodka TV, który powstaje z ośrodka do świadczenia, zamyka w zasadzie dopiero jej okres próbny. „Pomyślny start łódzkiej TV” — opisują dokładnie sprawozdawcy „Głosu Robotniczego” i „Łódzkiego Ekspresu Ilustrowanego” — przebiega bez zdarzenia do przewidzenia do historii naszego miasta. Po 10 latach za wcześnie jeszcze na ocenę.

Telewizję mamy dziś na co dzień, jest naszym „domowym kinem” radem uzupełnionym obrazem. To właśnie jej wszechstronność zadecydowała o karierze społecznej i tak szybko nam zadomowieniu się w naszym życiu. Z jej dorobku warto wydobyc wkład Łódzkiego Ośrodka TV, drugiego i „z wieku i urzędu” ośrodka spośród ośmiu istniejących w naszym kraju. Nie chodzi nam o satysfakcję jubileuszową. Po prostu zbierzmy fakty, które jak wszystkie w telewizji, są szczególnie ulotne i przemijające.

TAK SIĘ ZACZEŁO

A więc wróćmy do pamiętnego lipca 1956 r. Aby jak największą ilość widzów mogła obejrzeć pierwszy program, telewizory zainstalowano w 10 punktach miasta: w większych zakładach pracy, a nawet za szybami wystaw. Nie dziwnym się więc, że wydarzenie w pogodny lipcowy popołudnie budzi ogromne zainteresowanie. Relacje prasowe, przypominają nam jak to „punktualnie o godz. 16 ukazują się na ekranach” twarz p. A. Brzeskiej — kierowniczkę spikerki ŁOT. Na program złożyły się: dokumentalny film o uruchomieniu w roku 1945 Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia, inauguracyjne przemówienie przewodniczącego Prezydium Łódzkiej Rady Narodowej — Edwarda Kaźmierczaka, polski film fabularny. Komentarze prasowe sugerują odmalować tysięczne tłumy na ul. Piotrkowskiej, gdzie pod wystawami stacji obsługi TV pod nr 6 i sklepu elektrotechnicznego pod nr 115 oraz pod nr 96 cisną się łodzianie oglądający program, a „miliony mają ciawet trochę roboty z utrzymaniem porządku”.

Na własną telewizję Łódź czekała już w tym czasie dość niecierpliwie, i jakkolwiek ilość telewizorów w naszym mieście przekracza zaledwie 300 sztuk, a „Arged” ma na składzie tylko kilkadziesiąt importowanych, drogich „Rubensów”. Prasa donosi o pełnym napięciu wyekwirowania na nadejście zakupionego we Francji nadajnika, który załadowany 15 lutego na statek w Hawrze, utknął wraz z nim w lodach zamarniętego Bałtyku. A potem o wysiłkach inżynierów: Rybarczyka, Gedziorskiego, Janińskiego, Klomby, Titenborna, Wilczyńskiego i ich francuskich kolegów — Baraulta i Boxbergera oraz techników.

Oddana do eksploatacji stacja wyposażona jest w nadajnik z przewidzianą anteną

na kierunkową (północ — południe) aparaturę kontrolną, telekino składające się z 3 projektorów oraz małego studio o pow. 6x4 m (z jedną kamerą). Po zainstalowaniu anteny właściwej, zbudowanej przez „Mostostal” zasięg nadajnika wzrasta do ok. 40 km. Program nadawany jest tylko 3 dni w tygodniu, w poniedziałki, środy i soboty.

Dzień 12 grudnia 1956 r. jest znów szczególnie pamiętny w dziejach ŁOT. Startuje w nim łódzki teatr TV półgodzinna inscenizacja fragmentów dramatu S. Wyspiańskiego „Sędziowie”. „Dziennik Łódzki” zapowiada spektakl reportażem z próby generalnej. Jednym z bohaterów interesującego reportażu jest... kilkunastu letni świeżak, rekwizyt widokowy, który nie wytrzymał tropikalnej temperatury panującej w pokoju będącym „studium” ŁOT. Pod wpływem upału świece roztopiły się i sopłami spłynęły po świeczniku. „Ludzie wytrzymali” — pisze sprawozdawca „Dziennika”.

„NA GÓRCĘ”

G orące to czasy, i to nie tylko z powodu upałów w studio. Entuzjazm jest konieczny, bowiem trzeba opanować nowy warsztat, odkryć jego możliwości, wypracować różnorodne formy programu. Publicystyka i informacja, literatura i dramat, rozrywka, programy dla dzieci itp. W Łodzi „na górce” próbuje się wszystkiego. Trzeba, bo każdy ośrodek nadaje w tym czasie program we własnym zakresie i w zasięgu lokalnym. Czas ten trwa do września 1958 r., kiedy to telewizja w kraju rozpoczęła nowy okres działalności — nadawanie programu ogólnopolskiego.

Bujny to okres (kto wie, czy w dziejach ŁOT nie najlepszy) dla łódzkiej publicystyki telewizyjnej, związanej z życiem miasta. Poza łódzką kroniką TV, która od roku 1958 przyjmuje postać „Tele-serwisu” mnożą się reportaże oraz różne programy cykliczne — m. in. „Magazyn Rozmaitości” J. Urbankiewicza, „Rozmowy podsluchane” E. Szustera, „Tele-Omnibus” na temat naukowe L. Janikowskiego, „Dyskusje teatralne” w oprac. L. Budreckiego. Idą im w sukurs liczne konkursy — zalegająca forma teleturniejów, np. krajowy konkurs, filmowy, albo „Czy znasz Łódź?” Ale polska telewizja w r. 1957 wg określenia ministra T. Galińskiego „stała się największym teatrem w kraju”. Właśnie teatrem. Właśnie formy widowiskowe nadawane ze studia (najpierw w postaci tzw. „przeniesień”, potem własne wypełniały obok filmów eksperymentalny program ośrodka warszawskiego. Zaczyna także sięgać po nie z powodzeniem ośrodek łódzki. Aż trudno dziś uwierzyć, że w łódzkiej TV trafiają się w tym czasie 3-4 własne inscenizacje teatralne w jednym miesiącu. Repertuar bogaty. „Espół” H. Jakóbca (wówczas adaptacji), Z. Kuźmicki, K. Oracz, S. Szyszko i T. Worontkiewicz (reżyserzy) sięgają po W. Saroyana („Geniusz”), „Jest tam kto”, E. Hemingwaya („Wzgorze jak białe słońce”), L. Tolstoj („W połowie drogi”), K. Paustowskiego („Przed świtem”), F. Kafkę („Kolonja karna”), E. Caldwell („Szariatani”) i J. P. Sartre’a („Mur”). Trzeba też wspomnieć kilka inscenizacji H. Biełłuskiej w reż. W. Haupego („Interesant”), „Diamenty”, „Telefon”) i o programach satyrycznych W. Drygasa. Obraz gorącej pracy „na górce” dopełniają próby łódzkich programów rozrywkowych w reż. K. Oracza i J. Rzeszewskiego, i zabieg o program dla dzieci i młodzieży (widowiska, konkursy).

Od września 1958 r. spotykają się na antenie ogólnopolskiej TV Warszawa, Łódź, Poznań i Katowice. I zaczynają się — mimo wspólnych przecież celów — swoista rywalizacja.

ŁÓDŹ NA ANTENIE OGÓLNOPOLSKIEJ

Oto godziny programu jako jednostki „miary” idą już rocznie w tysiące i jest w nich coś z metrów, kilogramów i ton, jakim mierzą swoją produkcję zakłady przemysłowe. To już nie ilość egzemplarzy nakładu czasopism i książek, ani ilości produkowanych filmów i przedstawień teatralnych. Poszczególne „egzemplarze” Teatru Telewizji. Studia 63, Pegaza, Tele-Echa, Słownika Wyrazów Obcych, Monitory podlegają swoistej deprecjacji tonącej w lezbach godzin emisji „widowisk dramatycznych”, „programów publicystycznych”, „rozrywkowych”, „popularnonaukowych” itp.

Z perspektywy 10-lecia nie trudno, dostrzec, że w rozwoju polskiej telewizji programowej najwcześniejsze i najbardziej największe są osiągnięcia Teatru TV. W listopadzie br. minie 10 lat od antennej inscenizacji „Much” J. P. Sartre’a w reż. A. Hanuszkiewicza, uznanej za najlepsze widowisko roku, a już w latach 1957-1958 można było pisnąć o ukształtowaniu modelu widowiska i jego specyfice. Teatr ten — jak wiemy — rozwinął się w szereg „teatrów” w zależności od gatunku widowisk (Teatr Sensacji KOBRA, Teatr Fantastyki SFINKS, Teatr Humoreski itp.), przybierał też i przybiera różne nazwy zależne od różnych założeń programowych: (np. Mały Teatr TV, Teatr Współczesny, Studio 5, teraz Studio 63). Występowali w nim i występują najwybitniejsi polscy aktorzy. Stał się on propagatorem i środkiem upowszechniania literatury i dramatu, dodając — śledząc jego repertuar — na ogół dobre literatury i dobrego dramatu, mimo iż narzekamy czasem na „brykowanie” formę jego widowisk.

W ambitnych na ogół zadaniach teatru TV, który pragnie sprostać swej funkcji masowego, dobrego teatru, niewątpliwie znaczną rolę odegrał ŁOT. Ba, jest w Łodzi jeden z najlepszych teatrów w kraju w tym czasie — Teatr Nowy K. Dejmkę (war to przypomnieć, że w roku 1956 gościła go telewizja warszawska z pamiętnym „Świętem Winklerida” J. Zagórskiego i J. Andrzejewskiego). Jest zespół dobrych aktorów i reżyserów. Jest nowe, duże studio, są więc możliwości. Start teatralny ŁOT na antenie ogólnopolskiej od razu też budzi uwagę. Pragniemy przede wszystkim przypomnieć, że zdobywa w tym czasie w Łodzi ostrogę reżysera TV — J. Antezak, uczeń Dejmkę, od 1963 naczelny reżyser telewizji polskiej. Oglądamy w tym czasie z Łodzi m. in. „Na postoiu” według Londona, „Kłopoty redaktora” wg Twaina, „Upiór” Ibse — „Wierne rzeke” wg Z. Kuźmicki, „Warszawiankę” Wyspiańskiego w reż. Dejmkę. Na specjalną jednak uwagę zasługują dalsze dzieje łódzkiego teatru TV, które rozpoczynają uroczystą premierą w dniu 30 marca 1962 r. „Ojca Goriot” H. Balzaca w adaptacji E. Szustera, reż. J. Antezaka, scenografią J. Masłowskiego, z świetnym S. Lapińskim w roli tytułowej. Premiera ta ŁOT otwierał swój Teatr Popularny, który miał uzupełniać działalność warszawskiego Teatru TV nastawioną raczej — wg opinii krytyki — na repertuar nieaspokojający w pełni potrzeb masowej widowni. Otwierając Teatr Popularny premiera „Ojca Goriot” Wł. Orłowski (późniejszy dyrektor ŁOT) mówił: „Teatr Popular-



Fot. Z. Krajewski

ny chce wzruszać i bawić rezygnując z utworów i form obliczonych wyłącznie na lepię przygotowanego widza. Jest jednak cenna, jakiej nie chcemy pisać za popularność naszego teatru: ta cena jest artystyczna i ideowa kompromis”.

Nie stał się co prawda Teatr Popularny — jak postulował m. in. R. Szyszkowski — swoistym „uniwersytetem powszechnym” w dziedzinie światowej i polskiej literatury i dramaturgii, ale sięgał przecież zarówno po klasyków (np. Balzaca m. in. Fredro, Goldoni, Lermontow, Niekrasow, Szekspir, Hejermans, Bliżniński i Calderona), jak i po współczesnych (m. in. H. Cobb, A. Seghers, J. Iwaszkiewicz i K. Gruszczyński). Nam, łodzianom, sprawa niewątpliwie satysfakcję iż utrzymał on na antenie ogólnopolskiej dobrą markę łódzkiego Teatru TV zbierając słowa uznania krytyki za „premiery”. (Sukcesy „Ojca Goriot”, „Ścieżek chwały” Cobb’a, „Jesiennej nudy” Niekrasowa. Reżyserowali także premiery teatru: M. Broniewska, I. Kanicki, Z. Kuźmicki i Z. Hübner).

Dobłą markę łódzkiego teatru TV podtrzymują następni jego twórcy, choć raz po raz „porywa” nam ich Warszawa (stary problem). Po odejściu J. Antezaka reżyseruje nadal „wypróbowany i wierny” T. Worontkiewicz, nadchodzi passa I. Kanickiego (i on dał się uwieść stolicy) i T. Minca, przybywają także „nowi” jak J. Walczak (reżyser interesujący, choć uznanej za dyskusyjną „Wagłę” W. Bilińskiego) lub A. Srokowski (ostatnia przedwakacyjna premiera łódzka „Celadona i Astrei” o Sobieskim i Marysieńce). Znowu nie jesteśmy w stanie wymienić wszystkich interesujących i ambitnych widowisk lecz, tylko niektóre z nich, takie np. jak nagrodzony „Pan Puntilla i jego służa” Brechta z doskonałym J. Kłosinśkim w roli tytułowej, „Matka” Gorkiego w przeróbce scenicznej Brechta z R. Hanin, „Zrzut” wg M. Moczara w adaptacji E. Szustera, „Reportaż spod szubienicy” wg Fuczika w adaptacji I. Kanickiego i L. Budreckiego lub „Dragon” E. Szustera z brajałacym L. Benoit (był wyróżniony nie tylko przez „Szkłana niedzielę” S. Grodzieńskiego).

Dla „lepszego muzy” w telewizji jesteśmy nieco surowsi — i tak ma najwięcej chy-

ba wielbicieli — ale i ona przecież jest ważna i liczy się w dorobku Łodzi. Zanim nie oddalony „Kabaret Starszych Panów” zdobył całą Polskę, na pewno do najbardziej głuchych zakątków kraju „docierały” programy rozrywkowe z Łodzi J. Rzeszewskiego lub K. Oracza. Ba, ktoś w nich wówczas nie śpiewał? Rolska, Rek, Przybylska, Kunicka, Jakubczak, Warska! Nie zliczymy. Wtał jemuż łódzianin wpadali w te ruchliwe co miesiąc soboty do baru przy studio (nie było jeszcze tak ścisłych straż i przepustek), aby przyrzec im się przez szybę telewizora „Skladanki” estradowe robiło się prosto, ale z rozmachem i — nie bądźmy zbyt surowi — z wdziękiem świeżości. Bo trzeba przyznać nie brakowało wówczas pomysłów, aż do koncepcji teatryku „A kuku” opartego na tekście literackim (Najpierw odświeżone stare teksty S. Grodzieńskiego potem A. Ochocki zaadaptował 3 humorystki Awerchenki i były też „Kaloryfery” Galińskiego. A gdy wystawiano wreszcie z tekstami łódzkich satyryków Ryszarda Marka i wystawiono chwalony przez krytykę „Tryptyk szekspirowski” — teatryk układał bodaj z braku funduszy. Były to jednak dopiero początki kariery łódzkich programów rozrywkowych. Prawdziwa zaczęła się chyba od cyklicznego programu: „Muzyka, łatwa, lekka i przyjemna” z L. Kydryńskim, do którego — nie przechwalał się, to fakty — napływały dziesiątki listów od zakochanych dziewcząt z wszystkich miast powiatowych. Za lalkową „Paradę gwiazd” dostał J. Rzeszewski nagrodę. Potem — jak pamiętamy — były „Rymy, rytmy i nastroje”, a potem zaczął Rzeszewski coraz częściej reżyserować w Katowicach i... zajął się przygotowywaniem polskiego music-hallu do występów w paryskiej Olimpii. W Ło-

dzi w soboty cicho. Zrzadka zdarzy się taki program, jak „Kernalia” z Kernem i Fedorowiczem, w zbyt dużych odstępach czasu rodzą się „Piosenki stare, ale jare”, w których rozniewiali się, jak dotąd na angielską, francuską, rosyjską i czeską nutę łódzcy aktorzy (m. in. B. Majda, L. Benoit, J. Walczak, W. Skoczyła i R. Demonicki). W rozrywkowym turnieju miast ŁOT nie tylko nie zajął do tej pory żadnego z pierwszych miejsc, lecz w ogóle przestał brać udział.

Sieromnie, na koniec chcemy jeszcze podkreślić osiągnięcia ŁOT w programach publicystycznych. Ostatnio są nimi na antenie ogólnopolskiej jedynie „Próby” — Z. Chylińskiego. A szkoda, bo warto by np. pokazać Polsce części naszego miasta i jego sprawy. I nie wyłącznie od „stron”, w jakich ukazują go podroczniki szkolne. Warto też bodaj jednym zdaniem pokwitować łódzki dorobek w „Zakresie” programów dla młodzieży, szczególnie rozwijającego się Teatru Młodego Widza w łódzkiej redakcji M. Wiśniewskiej (np. nagrodzony „Portret rówieśnika” E. Szustera w reż. T. Worontkiewicza).

Ogólne pytanie, co dalej? za dajemy z troską i nadzieją, że ŁOT poradzi sobie z kłopotami technicznymi, jakie go nękają, i osiągnie stan „pełnej sprawności produkcyjnej”. Ze rozbuduje zaplecze swego ładnego przecież studia, któremu brak jednak niezbędnych magazynów i pracowni, sali prób, garderób, charakterystycznych, a nawet szatni. Ze zdobędzie wreszcie brakujący sprzęt i aparaturę, w którą wyposażone są już młodsze od niego ośrodki. Ze — jak im — pomoże miasto i rozwinię szerszą działalność istniejącą podobno w naszym mieście „Towarzystwo Przyjaciół Telewizji”. Nie tylko warto. Trzeba.



lecznych danego momentu historycznego.

Jak to wygląda w praktyce niech świadczy, najlepsza chyba, opowiadanie tomu „Pojedynek”, gdzie osobiste sprawy dwu chłopaków z przedmieścia (spór i bójka o dziewczynę), przechodzą nagle, wbrew ich woli, w jak to się mówi wir wypadków, związanych ze strajkiem robotników łódzkich i bójką z policją, do której zostają wciągnięci przypadkowo, co pozwala im na uświadomienie sobie osobis-

tej pozycji i miejsca w tym świecie krzywdy i niesprawiedliwości. Przy czym A. Kasprówic nie potrzebuje słów ze słownika rewolucjonistów, członków partii robotniczych, ani patosu, ani tkiwego i szlachetnego sentymentalizmu, z jakim niektórzy pisarze tzw. inteligencji traktowali robotników, aby przekazać jasno i niewzruszająco — przy pomocy samych tylko odpowiednio dobranych obrazów — istotę ówczesnych konfliktów klasowych. Na

wydarzenia patrzy oczyma swych bohaterów, z ich punktu widzenia, ba utożsamia się najczęściej ze swymi proletariackimi, jak on, postaciami. To chyba miał na myśli Władysław Broniewski, mówiąc o „proletariackim autentyzmie”.

W tomie niniejszym zasługują na wyróżnienie następujące opowiadania: „Opowieść wrześniowa” (wykorzystywanie wojennego zamieszania przez chłopów — kanalie, rabujące z bombą dowane miasto), „Jeszcze

Polska” (powojenne urazy i kompleksy), „Szalik” (okrucieństwo okupanta), „Pod kwitnącym kasztanem” (powojenne porachunki band z chłopami dzielącymi pańską ziemię), oraz „Kariera” (realistyczny i satyryczny obraz kariery urzędniczej w małym miasteczku). Pozostałe opowiadania wydają się nieco słabsze; bliższe tematycznie, zbyt sentymentalne lub zbyt naiwne publicystyczne.

W sumie jednak, tomik ten zasługuje na uwagę w dorobku A. Kasprówicza, gdyż podejmuje on tu po raz pierwszy tematykę związaną z wojną i rzeczywistością powojenną, podważa, gdy dotychczas obracał się w kręgu tematyki międzywojennej. I chociaż na tych współczesnych opowiadaniach autor potyka się najbardziej (jak większość zresztą pisarzy polskich „do brych”) dopóki piszą o przeszłości, a „kładących się” przy temacie współczes-

nym), dobrze to świadczy o pisarzu, który — swoją twórczością — nie pozwala zamknąć się raz na zawsze w określonych formułach. Tom ten pozwala mówić też o dalszym postępie i rozwoju pisarstwa Antoniego Kasprówicza, zajmującego w literaturze polskiej tak odrębną i osamotnioną pozycję autentycznego pisarza proletariackiego.

Antoni Kasprówic: Pod kwitnącym kasztanem. — Wydawn. Łódzkie, 1966, s. 96, 2 nb, zł 8.

Łęczyca na nowo

„Na dachu środkowego budynku na zamku w Łęczycy rola grusza, brzoza, drzewo pieprzowe i bez. W nocy około jedenastej na dachu ukazywała się panienka ubrana na biało i tańczyła w świetle księżyca i nikt nie wiedział, kto ona jest.

Wszyscy się bali i mówili, że ta panienka porwał kiedyś Borutę i wiezi w podziemiach zamku”.

Oto jedna z rozlicznych opowieści wiążących postać słynnego w Łęczyckim diabła — Borutę z siedzibą dzisiejszego Muzeum Regionalnego w Łęczycy.

Zamek łęczycki zbudowany w XIV wieku stanowił ważną część fortyfikacji miejskich z czasów Kazimierza Wielkiego. Wzniesiony na sztucznym nasypie, a nie na wzgórzu, jak mniemano do momentu ostatnich odkryć dokonanych przez archeologów łódzkich, posiada mury o przeciętnej szerokości dwóch metrów. Szerokość fundamentów wieży wynosi nawet 3,8 metra, natomiast głębokość fundamentów dotychczas nie udało się zbadać. Zaprzestano kopania po osiągnięciu 7 metrów.

Ten oto potężny niegdyś zamek upamiętniony został w tutejszej legendzie, jako ulubione miejsce pobytu Boruty. Z racji podejmowanych tu już przed II wojną światową prac konserwatorskich mówiono w Łęczyckiem: „Zamek w Łęczycy podmurowali, a diabła nie ruszali. Niech śpi — mówią — nie wolno. Nie ruszali podziemi, bo wtedy wielki zamęt by był”.

Obecnie jednak „ruszono podziemia”. Zamęt istotnie powstał wielki, ale nie Boruta był tego przyczyną. Częściowa odbudowa zamku, prowadzona już drugi rok, a zaplanowana jeszcze na dwa lata, uniemożliwiła chwilowo dalszy rozwój założonego tu w 1949 roku muzeum regionalnego. Musi ono przeczekać trudny okres chaosu i przygotować się do zabłyśnięcia odrodzonym blaskiem w przestronnych salach zrekonstruowanego zabytku.

Ambitne plany kierownika muzeum, pani mgr Jadwigi Grodzkiej, zmierzają do ogarnięcia ekspozycją muzealną całości wiedzy o regionie.

Takie założenie narzuca wieloaspektowa i dynamiczna koncepcja przyszłej działalności.

Trzon ekspozycji stanowi

będą zbiory stałe, ukazane obecnie w sposób fragmentaryczny ze względu na przebudowę pomieszczeń.

Na plan pierwszy wysuwają się dwa zagadnienia: obrazowanie (możliwie wszechstronne i wyczerpujące) dziejów Łęczycy i regionu i ukazanie bogactw rozwijającej się tu już od wieków oryginalnej sztuki ludowej.

W historii Łęczycy najciekawszy jest okres wczesnośredniowieczny. W ramach obecnej ekspozycji działu historycznego ukazano, między innymi, przedmioty z

na twórczością regionalnych artystów jest niezwykle istotny na terenie Łęczyckiego, gdyż folklor tutejszy szybko zanika. Ma to swoje uzasadnienie w przemianach, jakim podlega Łęczyca, niedawno jeszcze centrum okręgu rolniczego, a obecnie — poważny ośrodek przemysłowy.

Muzeum zorganizowało, wspólnie z Łódzką Rozgłośnią Polskiego Radia, konkursy na łęczycką sztukę ludową, tkaninę i stroj regionalny. Nadesłane prace zostaną ukazane zwiędającym na specjalnych wystawach. Ekspozycji było dużo. Dość wymienić, że na konkurs sztuki ludowej przysłano 320 rzeźb.

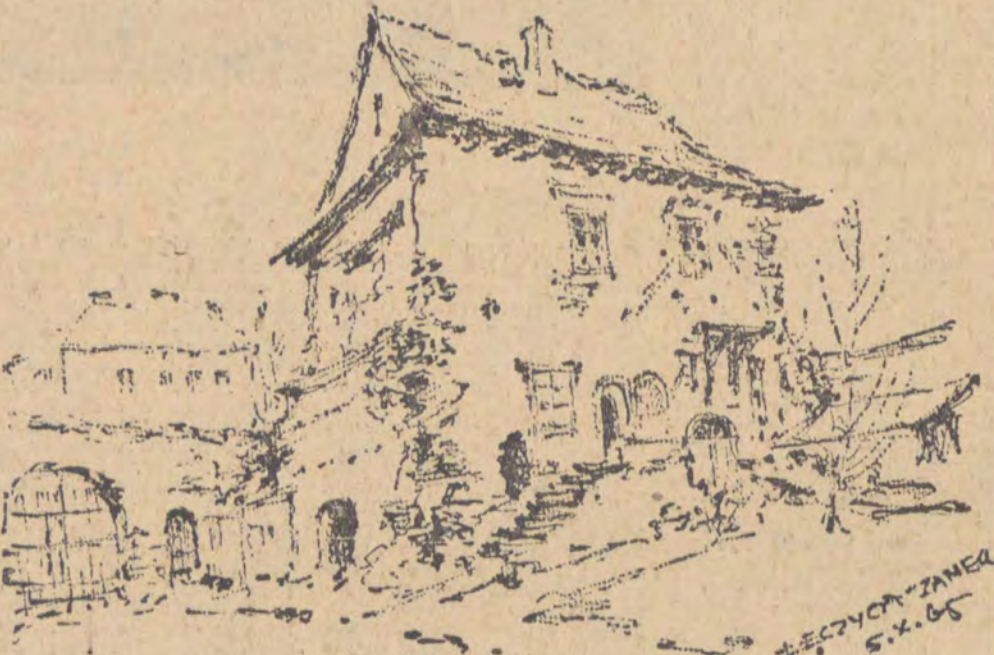
Muzeum utrzymuje stały kontakt z twórcami ludowymi, udzielając im pomocy

zującymi florę i faunę charakterystyczną dla regionu łęczyckiego.

Zgodnie z planami, wschodni budynek zamku pomieszczy w przyszłości na parterze zabytki geologiczne — skamieliny z kopalni łęczyckiej, a na I piętrze — zbiory zmieniającej się fauny regionu.

Obok stałej ekspozycji, muzeum będzie organizowało, podobnie jak dotychczas, wystawy czasowe, poświęcone przede wszystkim sztuce ludowej.

Stanowi ona główny przedmiot zainteresowań i samodzielnych badań pani mgr Grodzkiej, autorki oryginalnej pracy „Legenda łęczycka”. Są to opowieści bezpośrednio zaszywane, charakterystyczne dla Łęczyckiego. Najwięcej miejsca zajmują legendy o Borucie,



Łęczyca. Zamek.

Rys. W. Śniadecki

leżone na grodzisku w Turmie, fragmenty rzeźb kamiennych stanowiących wystrój kolegiaty, pamiątki cechowe, monety oraz mapy i plany Łęczycy.

Po ukończeniu przebudowy zamku zabytki historyczne zostaną umieszczone w salach parteru i I piętra. Całe II piętro wypełni sztuka ludowa.

W zbiorach tego działu na pierwsze miejsce wysuwa się rzeźba figuralna. Muzeum w Łęczycy, od momentu swego powstania, szczególną wagę przywiązywało do prac łęczyckich twórców ludowych.

Problem opieki nad zabytkami ludowymi i aktual-

poprzez kredyty Ministerstwa Kultury i Sztuki w najroźnorodniejszych formach: zakup prac, stypendia, konkursy, nagrody.

Kontakty muzeum nie ograniczają się oczywiście tylko do kręgu artystów łęczyckich. Obejmuje ono swoją działalnością cały region, a przede wszystkim szkoły wiejskie i kopalnię rud żelaza. W Szkole Górniczej odbywają się odczyty pracowników muzeum, natomiast dzięki inżynierom i górnikom — bogaci się trzeci, obok historycznego i etnograficznego, dział muzeum.

Jest to dział geologiczny, łączący się obecnie ze zbiorami przyrodniczymi, obra-

z których dwie przytoczono tutaj: pierwszą opowiedziała w 1956 roku Katarzyna Kamińska, lat 83, ze wsi Dzierżbiewów, druga — w roku 1953 Andrzej Zajac, lat 83, ze wsi Witaszewiczki.

Wszechstronna działalność muzeum — placówki naukowo-badawczej, oświatowej, kulturalnej i informacyjnej — jest przede wszystkim zasługą kierownika, pani mgr Grodzkiej, która potrafiła dokonać tego, że zarówno dzieci, jak i starzy mieszkańcy Łęczycy i okolic z dumą ukazują „wielki zamęt” panujący dziś na dziedzińcu zamkowym, mówiąc: „To będzie nasze muzeum”.

KRONIKA



ZAKOŃCZENIE FESTIWALU

Nie czytałem powieści „Zamek” wydanej po raz pierwszy w 1926 roku, i dlatego mogę mówić tylko o przedstawieniu.

Twórczość Franza Kafki pozwala na rozmaite wykładanie, pozwala na to i los człowieka. Świadczy to więc o bezspornym bogactwie pisarskim, ale chyba i o jego ograniczeniu. Pisarz szukał — nie znajdując. Nie zaprzecza, rzecz jasna, jego wielkości, ale utrudnia obcowanie z nim, budzi swoisty niedosyt.

Żeby było poważniej, czytujemy passus ze wstępu Zbigniewa Biełkowskiego do „Dzienników”:

„Świat po to tylko istnieje, aby osaczyć, paraliżować, osłabiać, uniemożliwiać. Każda strona tego świata to brama do piekła. Tam można tylko wejść, wyjścia stamtąd nie ma. Czymże jest człowiek? Oskarżonym. Winowajcą. Każdemu wytoczony jest proces i każdy ten proces musi przegrać...”

Proza Kafki jest nasycona konkretem, zanurzonym w koszmarnym, spiętym w niej realnie i fantastycznie. Byłoby np. nawiązanie i ślepotą odczytywać przedstawienie jako satyrę na biurokrację, choć przebieg wydarzeń zewnętrznych — właśnie owe konkrety — mogłyby to podsuwać. Jednak zwłaszcza zakończenie, nie mówiąc już o znajomości innych dzieł pisarza, każdemu widzowi przywróciło na nowo.

Dla mnie „Zamek” to najogólniej rzecz biorąc „raj utraciony”, a ci z gospod i geometra K... to „wygnańcy Ewy”. Dodać do tego jeszcze jeden ustęp, ale z „Dzienników” samego pisarza: „...Możesz nie dociepać do Kanaanu nie dlatego, że jego życie było za krótkie, lecz dlatego, że było życiem ludzkim”.

Spektakl w sensie literackim składał się z fragmentów, ożywionych i zespólonych przejmującym nastrojem samotności się ludzi. Wspomniana fantastyka, niosąca ukryte znaczenia, zespałała się z rzeczywistością.

Spektakl narzucał się jako całość. Aktorsko stał na dużym poziomie przede wszystkim w wypadku geometry K... (Ludwik Pak) jak i w wypadku Olgi (Aleksandra Ślaska). Friedry (Elżbieta Kępińska). Prawde mówiąc, nikomu nie dałoby się przypisać latki — otrzymaliśmy gre wrażeń się — przenikając.

I tak zakończył się III Festiwal Teatrów Dramatycznych, którego telewizyjnie przedstawiono wiele zawiązków. Okazuje się, że nie będzie nagród i wyróżnień, chyba słusze, gdyż rozmaite inscenizacje i treściowa festiwalu nie dałaby się zbyt łatwo podzielić pod jakieś wspólne wyróżniki i miarowniki.

Wyrażam jednak żal, że nie zdecydowano się na jakieś poważniejsze skwitowanie festiwalu, które byłoby dla nas pożyteczne. Mam na myśli wysuwanie przede mną przy innej okazji konieczność przeprowadzenia telewizyjnej dyskusji z okazji ciekawych wydarzeń teatralnych, no, bo to jest szansa dodatkowego wzbogacenia naszej świadomości i naszej wrażliwości estetycznej. Niechby w niej, w takiej dyskusji, wzięli udział przedstawiciele do spektakli. Ale jest to pisanie na adres jednego z „zamekowi”!

To już „nie nieszczęście, ale skandal” — oto jak rozumują rodzice Heli, która pięknie zagrała Bogumiłą Murzynską, a jej równorzędnym partnerem był Franio Ryszarda Zaorskiego. Cóż możemy podziwiać w tej znakomitej komedii... ludzkiej Włodzimierza Perzyskiego? Pyszny dialog, zabawny lub rozwijający sytuację. Aktoży rozmawiają ze sobą, nie zaś wygłaszają tyrady do widowni. A poza tym pozostałe konfrontacje obyczajów minionych ze współczesnymi. Dziś u nas trudno się na dyskryminację twardość. No, i przede wszystkim w pewnych dziedzinach medycyna a także ustawodawstwo posunęło się daleko do przodu, o czym dobrze wiedzą Szwedzi, chętnie przejeżdżające do Polski.

Pierwszy film przygodowy nowej serii „Na wilczych tropach” zapowiada ją zachęcająco. Reżyserował Hubert Drapella. Szczególnie niż w roku ub. nawiązała TV do rocznicy września. Skontaktowano nas z wieloma uczestnikami tamtych dni, pokazano doskonały film „Homo Varsoviensis” na marginesie którego można chyba tylko zauważyć, że z tą skłonnością warszawiaków do spontanicznej zbiorowej zabawy, to raczej życiowa przesada. Wogóle Polacy to nie Włosi czy Francuzi, właśnie skłonności do dobrej spontanicznej zabawy nie wykażujemy. I, niestety, nie zawsze temu można się dziwić!

Piszący te słowa również spędził kilka godzin przed małym ekranem, przyglądając się mistrzostwom lekkoatletycznym Europy, zaglądając chwilami do wierszy Kazimierza Wierzyńskiego „Laur Olimpijski”, podziwiając zwłaszcza znakomite rodaczki z p. Ireną Kirszenstein na czele. Okazuje się, że najwięcej sukcesów odnosimy w biegach. Cóż, biegający w różnych kierunkach zawsze u nas było i jest wiele! Sport więc narodowy!

Muszę się przyznać, iż w piątek i sobotę denerwował mnie, p. Zosie i p. Malinika (którą wrócił z wojażu zagranicznego) telekomunikator. Był świetnie zorientowany, ale, chyba z nadmiernej gorliwości, celował w niepoohamowanym gadulstwie, przeważnie zapominając o tym, że powinien współpracować — właśnie współpracować — z obrazem!

Tydzień, w porównaniu z poprzednimi, był dość szczytowy, dostarczył rozmaitych treści.

Jan Hruszcz

PS. W „Dzienniku Łódzkim” z 31. VIII, znalazłem podnieszoną notatkę:

W „BALATONIE”...

...o godz. 17.40 dwa pierwsze stoły przy wejściu zajęte były przez piwowarów. Amatorów piwa była przeważnie młodzież, która swoim zachowaniem odstraszała spokojnych konsumentów. Czas najwyższy, by w godzinach wieczornych zlikwidowano sprzedaż piwa w barze „Balaton”.

Cóż, mogę dodać, że pod wieczór nieprzyjemnie i niebezpiecznie nie było w parku im. Poniatowskiego, w którym grupki wyrostków nie krepują w kopolech. Czy więc wyciąć drzewa z parku? Przykłady można mnożyć.

Nie należy likwidować piwa, parków i chodników naszych ulic, choć przecież nawet na chodnikach Piotrkowskiej bywa jak... brak mi doświadczenia porównania! Należy natomiast zacząć nareszcie na serio zwalczać wszelkie przejawy chuligaństwa! Mimo że to nie jest łatwe!

J. H.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



WSPÓŁCZESNA MITOLOGIA

Trzy lub cztery lata temu kato-wicka TV nie mogła otrzymać połączenia z Warszawą w noc sylwestrową i zamiast zapowiadanej szoki noworocznej „Wielokronka” nadano świetny zresztą film krótko-metrażowy „Muzykanci”. Zawód był ogromny. Tysiące ludzi czekających przed odbiornikami telewizyjnymi nie mogło przeboleć, że właśnie wtedy zawiodły urządzenia techniczne. Tak było faktycznie. Teraz jednak

wyobraźmy sobie pewne sytuacje fikcyjne. Olbrzymi tłum kibiców sportowych wypełniających szeregami stadion czeka na zapowiadany mecz piłki nożnej. W ostatniej chwili mecz zostaje odwołany, a zamiast niego odbędzie się występ znanego zespołu oieśni i tańca. Inna sytuacja: sala wypełniona, bogactwo światła, chwila ciszy i wyczekiwania — za moment kurtyna pódzie w górę. I wtedy właśnie widownia dowiaduje się, że zamiast lekkiej, wesołej operetki wystawiona zostanie klasyczna tragedia grecka. Z cała pewnością prawie wszyscy protestowali by przeciwko dokonany w ostatniej chwili zmianom. Choćby nie wiem jak przekonano ich, że są to zmiany na lepsze. Dlaczego tak się dzieje? Każdy rodzaj widowiska pełni w społeczeństwie odmienne, właściwe sobie tylko funkcje: dostarcza innym wrażeń estetycznych czy intelektualnych, przynosi różnorodne emocje. Każdy oferuje zermadzonym odbiorcom inny rodzaj przeżyć, fascynacji tym, co pokazwane, każdy posiada właściwy sobie tylko ideal piękna i sposoby jego realizacji. W tej grze, do której zasiadamy kuupując bilet do teatru, kina lub na stadion sportowy, obowiązują pewne niezmienne regu-

lę. Ale jak w grze istnieje kilka sposobów jej prowadzenia, tak w widowisku istnieje pewne reguły zmieniające się zależnie od gatunku. Dlatego nie chcemy oglądać dramatu wojennego, jeśli wybraliśmy się do kina na komedię, ani dramatu psychologicznego zamiast filmu przygodowego.

Western jest gatunkiem filmowym o wyjątkowo mocno zarysowanych cechach wyróżniających. Posiada utarty, powtarzający się schemat fabularny, powtarzające się motywy, sceny nawet, różniące się tylko w szczegółach. Posiada określony typ bohaterów występujących niezmiennie w scenarii: preli, skali, kanionów. Cowboje pedza w nich na pięknych, racych koniach, ściga ją lub są ścigani. Bija się nożem, strzelają cennie, są nieustraszeni, dzielni i mają piękne, śmiałe kobie ty. Westerny pokazują świat, w którym obowiązują nie tylko wciąż te same, sprymitywizowane prawa etyczne, ale także jednokowe rozstrzygnięcia powstałe na tym tle konfliktów między bohaterami. Western jest gatunkiem optymistycznym w swym założeniu. Wszystko kończy się w nim dobrze, nastaje ład i sprawiedliwość. Owa sprawiedliwość ma charakter ludowy, bo ludowy jest też rodzaj całej etyki westernu. Jest w tym wszystkim —

widać — nieodparty czar, skoro w stern świeci triumf już przez lat kilkadziesiąt. Nie razi w nim ani kiczowatość natury, ani prymitywizm postaci bohaterów i spraw rozgrywałych się między nimi. Co więcej: czekamy na to. W tym oczekiwaniu jest może reakcja na nasz zindustrializowany, meczący swym tempem, skomplikowany, nakazami i zakazami świat. Jest może tęsknota za naturą, za niebem, którego przestworzy nie zamkają mury kamienia i las anten; za słońcem, za wiatrem olbrzymich otwartych przestrzeni; za ludźmi, o których wiadomo, że tak a tak się zachowują, za ludźmi zadowolonymi maski, obłudy, naturalnymi, prostymi, pięknymi i nieuległymi jak mi tologiczni bogowie lub herosy. Bo też jest w westernie coś jakby ze współczesnej mitologii, tęsknoty za poietą w ludowy sposób doskonałością człowieka. Jest w nim ów mitologiczny kult ludzkiej siły i przebiegłości, kult ludzkiego ciała. Poetę mitu bolega na ciałach powtarzaniu go. A przecież western to nie innego jak ciągłe przetwarzanie, podawanie w różnych wariantach tego samego mitu. Współczesna sztuka filmowa daje czasem swym ludowym bohaterom westernu głębie psychologiczne. Rzuca po most pomiędzy mitologicznymi he-

rosami i ludźmi naszych czasów. Je śli zachowa urok tamtych i nie zafalszuje obecnych, nie tylko spełnia oczekiwania, wybierając się nań widza, lecz dostarcza mu wrażeń nadprogramowych. Gorzej, gdy poddana nadmiernymi aspiracjami, swej popularności i dążąc do rzekomo wyższych celów, nie potrafi zaspokoić tych elementarnych wymagań, jakie stawia widz siadający do „grzy” westernowej. Film zawodzi wówczas oczekiwania i razi swą sztucznością. Tak właśnie dzieje się z westernem Henry Hathaway „Z PIEKŁA DO TEKSASU”. Zapatrzonny w osiągnięcia wielkich westernów psychologicznych Hathaway stworzył defta, nudna, cikliwa w dodatku bzdure z anty-cowbojem w głównej roli. Gdyby to była parodia westernu jak choćby „Winchester 73”, wszystko byłoby zrozumiałe. Ale tak — film Hathaway jest po prostu niewyważony, lub — jeśli kto woli — nieporozumieniem. Kto chce zobaczyć western prawdziwy, w całej okazałości swego gatunku, czysty, dobry, porównaj — niech idzie na „SAMOTNEGO JEJZDZĄ” Buddy Boettchera. Film klasyczny w swej prostocie, bezpretensjonalności. Western, który nie sprawia zawodu.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

MAURICE CHEVALIER ASEM WYWIADU?

■ Sławny, obecnie się demdiesięciosiedmiolatek, w swoim czasie ogromnie popularny piosenkarz francuski Maurice Chevalier, według sensacyjnego oświadczenia dziennika „Paris Jour” pracował w czasie drugiej wojny światowej dla amerykańskiego wywiadu. Jak następnie podaje „Paris Jour” Chevalier doprowadził do zdemaskowania dwudziestu agentów Ge-

stapo w okupowanej Francji i zabawom dawnym ludów. Czesze druga książka omawia starożytny teatr Wschodu, dzieła teatru greckiego i rzymskiego, średniowiecza, i dzieła dalsze aż po teatr współczesny. Specjalnie szczegółowo potraktowany jest teatr włoski, hiszpański, elzbietański, rosyjski i francuski. Teatr współczesny omawiany jest w części trzeciej, a przedstawiony w jego powiązaniach z teatrami ciemnymi, cyrku i kabaretu. Na zakończenie omówiono związki teatru z telewizją i filmem.

BRAZYLJSKA WIOSKA SZTUK I NAUK

W odległości stu trzydziestu kilometrów od Rio de Janeiro, na wysokości 600 metrów nad poziomem morza leży wioska Arcozelo, która przyciąga wielu mieszkańców Brazylii: na urządzane tam festiwale. Wkrótce wioska stanie się ośrodkiem kształcenia młodzieży w zakresie sztuki i nauki. Ta akademia, w greckim sensie tego słowa, stworzona wśród pięknej przyrody, otoczona polami i lasami, zawiążeła swe powstanie inicjatywie piosenkarza i mecenas sztuki, Włocha z pochodzenia, Paschoala Carlosa Magno.

PISMO POŚWIĘCONE KRZYTYCE

■ Od czterech miesięcy ukazują się we Francji nowe pismo kulturalne. Redagowane przez jednego z najwybitniejszych krytyków paryskich, Mauricea Nadeau, nosi ono nazwę „La Quinzaine Littéraire” („Dwutygodnik Literacki”) i przynosi omówienia wszystkich wybitniejszych pozycji książkowych. Spełnia więc ono zadanie, które sobie u nas postawił miesięcznik „Nowe Książki”, ale jest ono lepiej i ciekawiej redagowane. Pismo mówi zarówno o książkach „de poche”, a więc przeznaczonych dla masowego odbiorcy, jak i o dziełach przeznaczonych dla węższego grona czytelników. Innymi wyjątkami zajmują się rza dziei, chyba że mają one znaczenie wyjątkowe, np. wystawa Dubuffeta w Londynie. Wytworna jest informacja, możliwie obiektywna, polemiki nie są zadaniem czasopisma. Czasem jednak „Quinzaine” zajmuje stanowisko, np. w sporze o tzw. „nową krytykę” literacką we Francji. Współpracownikami są krytycy, a w sprawach naukowych — młodzi profesorowie i pracownicy instytucji badawczych. Pismo cieszy się znacznym powodzeniem, abonenci rekrutują się głównie z kół urzędniczych, nauczycielskich oraz profesorskich. Do redakcji nadchodzi także lista adwokatów, lekarzy, aptekarzy, notariuszów, którzy pragną być „ab courants” — rzuć umysłowe. Zauważono, że kierownicy księgarni chętnie się zapoznają z książkami, omawianymi przez „Quinzaine Littéraire”, a wydawcy nadsyłają ogłoszenia — nawet, gdy recenzje o ich wydawnictwach nie są pozytywne. Niewątpliwie pismo wypelniło lu-

ke, gdyż dzienniki oraz tygodniki omawiały tylko drobne części publikacji „modnych”. Podobnie jest zresztą i u nas, gdzie recenzje stanowią najbardziej niedoceniane (przez redaktorów) funkcje pras codziennej (i niekiedy — i tygodniowej).

MARIVAUX SIŁNIEJSZY OD DESZCZU

■ Nawet rzesisty deszcz nie przeszkodził widzom paryskim, którzy przyszedli na przedstawienie „Niedyskretnych przyśiąg” Marivaux, grających na dziedzińcu pałacu Aumont przy ulicy Jouy, w najstarszej paryskiej dzielnicy Marais. Aktorzy grali cały pierwszy akt niezmiernie ciekawie. Lecy w antrakcie organizatorzy spektaklu obawiając się o los dekoracji, kostiumów i peruk, ogłosili, że niebystwo spektaklu musi być z powodu pogody przerwany. Wywołano to protesty widzów, którzy gwizdami, krzykami i apostrofami domagali się kontynuowania gry. Zyczenie to zostało spełnione, przedstawienie odbyło się aż po ostatnią replikę — i zostało nagrodzone gorącymi oklaskami entuzjastów teatru i Marivaux.

„HISTORIA WIDOWISK”

■ Niedawno w Paryżu w serii „Encyklopedie de la Pléiade” ukazała się zbiorowa praca pt. „Histoire des Spectacles” (Historia widowisk). Dzieło liczy ponad dwa tysiące stron, a jest wynikiem współpracy sześćdziesięciu naukowców z różnych krajów. Książka w pierwszej części poświęcona jest omówieniu widowisk w czasach prehistorycznych, a więc rytuałom i obrzędom, świę-

W Arcozelo od nowego roku szkolnego, który zaczyna się w Brazylii w marcu, mają być już w pełni uruchomione uczelnie artystyczne najróżniejszych kierunków. Będą tu szkoły: plastyczne, muzyczne, baletu, literatury itp. Obecnie przygotowuje się w Arcozelo wygodne pomieszczenia dla studentów, którzy jadają tu z całego kraju, oraz luksusowe mieszkania dla profesorów. Dla uzupełnienia wykształcenia zakłada się biblioteki z dziełami o najróżniejszych tematyce naukowej. Powstanie też muzeum z różnymi dziełami oraz najprzeróżniejsze pracownie i dwa teatry. Jest także kino.

Lipiec jest w Arcozelo okresem festiwalowym. Wystawia się tutaj opery, urządziła koncerty o wczesnej muzyce, jazzu, nowoczesnego tańca, organizuje festiwale sztuki murzynskiej, wystawy malarskie. Jak np. poparty, wyświetla najnowsze filmy brazylijskie, wystawia sztuki sceniczne. Urządzone są konkursy teatrów studenckich i lalkowych. Organizuje się też dys-



Carita w filmie pt. „Królowa Wikingów”; na wojnie bojowym prowadzi swych wojowników do walki z Rzymianami.

kusje, w których biorą udział brazylijscy pisarze, historycy literatury, teoretycy teatru, muzycy, filolodzy i socjologowie.

SLAWNE PROCESY

■ Maurice Garçon, słynny adwokat paryski, członek Akademii Francuskiej, opublikował w wydawnictwie Fayard, pięć swoich mów w słynnych procesach. Prawie wszystkie dotyczą spraw literackich i artystycznych. Np. w 1932 r. bronił Mauricea Garçon praw, jakie słusznie zgłasza spadkobiercy wielkiego malarza, Bonnard. W innym wypadku chodziło o obronę księża, oskarżonego o nieodroczenie staranne zabezpieczenie książki, zakazanej przez ministra. Kiedy indziej spadkobiercy jednego z wydawców Bau delaire'a przynawala sobie prawo wyłączności do ogłoszenia 6 poematów z „Kwiatów złota”. Najciekawszy (także i dla nas!) jest proces z września 1965 r., w którym adwokat Garçon bronił moralnych praw niezjawnych autorów przeciw niesłychanej bezceremonialności inscenizatorów! Jakże aktualny proces...

W.N.

JOSEPHINE BAKER NA KUBIE

Dzisiaj już sześćdziesięcioletnia, niegdyś niezwykle popularna kolorowa tancerka i piosenkarka Josephine Baker wyjechała wraz ze swą go-

NOWA NAJPIĘKNIEJSZA KOBIETA ŚWIATA?

Po Ursuli Andress w 1965 roku, Raquel Welch w 1966, Hollywood lansuje na rok 1967 nową najpiękniejszą kobietę



Ursula, Raquel, Carita.

madką składającą się z czterech adoptowanych dzieci, na Kubę. Na zaproszenie Fidela Castro brała ona udział w uroczystościach 13 rocznicy Rewolucji Kubańskiej. Artystka otrzymuje od

Fidela Castro stałą zapomogę, gdyż jej własne środki finansowe nie wystarczają na utrzymanie zamku Mirande we Francji, gdzie wychowują się jej adoptowane dzieci różnych narodowości.

POLONICA

„SŁOWO LUDU” O NASZYCH PISARKACH

Wychodzące w Czechosłowacji „Słowo Ludu” w kronice zatytułowanej „Ze świata” pisze:

„Warszawa otrzymała nowy pomnik — Marii Konopnickiej, z okazji 124 rocznicy jej urodzin. Pieniądze (pół miliona zł) uzyskały dzięki ze zbiorów publicznych”. Ta sama gazeta podaje wyniki ankiety na najpopularniejszego pisarza Polaki: „Na podstawie ankiety „Dziennika Ludowego” najpopularniejszym pisarzem w Polsce jest Zofia Nałkowska. Jej „Medaliony” otrzymały najwięcej głosów”. No proszę, a my znamy niejednego pisarza żyjącego, który siebie widzi właśnie na tym miejscu. (ei)

„SOWIECKA KULTURA” O POLSKICH AKTORACH

W związku z wystawieniem „Martwych dusz” przez telewizyjny teatr warszawskiej TV, „Sowiecka Kultura” z uznaniem pisze o aktorach grających w tej interesującej sztuce. Radziecki krytyk podkreśla, że reżyserowi udało się w pełni oddać atmosferę dzieła Gogola. A oto co pisze o obsadzie: „Zainteresowanie tym przedstawieniem jest uzasadnione tym, że wystąpili w nim najwięksi polscy mistrzowie sceny, którzy z zapalem przygotowali swe role. Pluszka widowni ujrzała w wykonaniu słynnego weterana Tadeusza Fijewskiego, Sobakiewicza gra popularny komik Mieczysław Czechowicz. Wielkim wydarzeniem była rola Czczykowa w wykonaniu mistrza współczesnej sceny — Tadeusza Łomnickiego”. (ei)

SLUCHOWISKO TYMOTEUZA KARPOWICZA

W dzienniku hamburskim „Die Welt” (21 lipca br.) znajdujemy recenzję ze słuchowiska Tymoteusza Karpowicza „Vier Nachtwächter” (Cztery nocnych stróżów), które nadało radio Bremen w przekładzie Heinricha Kunstmann. Autor recenzji, po kilku uwagach wstępnych na temat walorów polskich słuchowisk radiowych, zwłaszcza Tadeusza Różewicza i Zbigniewa Herberta, przechodzi do oceny pracy Karpowicza. Jest on zdania, że tym razem Karpowiczowi nie udało. Słuchowisko jest zawile, nawet uważa, że słuchacz go nie zrozumie. Liczne aluzje — pisze recenzent — które mogą być zrozumiałe dla odbiorcy cudzoziemskiego.

K. I. GALCZYŃSKI PO ROSYJSKU

W zapowiedziach wydawniczych nr 26 „Nowej Książki SSSR” znajdujemy wzmiankę, że w IV kwartale br. ukazała się w wydaniu książkowym wiersze K. I. Galczyńskiego. Przekładu dokonał L. Martynow, D. Samojłow, B. Siuckij i inni.

Jak wysoko cenią radzieccy wydawcy wiersze naszego poety, niech świadczy poniższy urywek z zamieszczonego tekstu reklamowego: „K. I. Galczyński 1905-1953 — jeden z najbardziej utalentowanych i lubianych poetów przez współczesnych polskich czytelników. Jego liryka charakteryzuje się wyrażoną optymistyczną intonacją, gorącą miłością do ludzi, umiejętnością podniewania i wynajdywania poetyki w świecie zwykłych rzeczy. Utalentowany liryk, był Galczyński znakomitym mistrzem parodii i groteski”. (ei)

POLONICA

str. 9

Notatnik KULTURALNY

NIEDZIELA

Przez całe lato (od czerwca poczynając) tożdzanie, którzy nie wyjeżdżali na sobotni i niedzielny wypoczynek mieli możliwość zabawić się na imprezach „Zielonego Festiwalu”. Stosunkowo mało było o tej inicjatywie, podjętej przez Zw. Wiolnizarzy. WKKZ i „Głos Robotniczy”, a realizowanej przez Międzyzakładowy Dom Kultury Wiołnizarzy. Przy Piotrkowskiej 262, w głębi ogrodu, estrada i widownia na 827 miejsc były miejscem dziesiątków imprez rozrywkowych najróżniejszego typu, od wieczorów tanecznych poczynając, poprzez występy zespołów amatorskich, gościnnych występów zespołów takich jak „Willia”, Estrada Śląskiego Okręgu Wojskowego, Zespół Serbów Łużyckich, „Mongolia”, po koncerty artystów scen łódzkiej i imprezy tego typu co „Zywa krzyżówka”, przedstawienia „Pinokia” dla dzie-

ci, czy audycje umuzykalizujące LTM, Zielony Festiwal” zakończy sezon 25 bm. występem „Harnaś”. Warto powiedzieć, że niezależnie od pogody wszystkie miejsca siedzące, a ostatnio i stojące były zajęte. Świadczy to o potrzebie imprez letnich tego typu. Ale o tym innym razem.

PONIEDZIAŁEK

Zarząd Łódzki TPP-R przesłał do zaprzyjaźnionego z Łodzią Iwanowa z ZSRR upominek w postaci wystawy pn. „Łódź w fotografii”. Autorem zdjęć jest Adam Idziński, zestaw zawiera artystyczne fotografie najciekawszych obiektów naszego miasta. Podarunek ten jest przeznaczony dla nowego kina w Iwanowie, noszącego nazwę „Łódź” i będzie stał się stałą ekspozycją w kulturalnym kinie.

WTOREK

W Łodzi bawi delegacja organizacji Serbów Łużyckich „Domowina” z Budziczi Schronisk Młodzieżo-

szyna w NRD. Delegacja wych, który odbył się w towarzyszy 50-osobowy Zespół Piesni i Tancz. Jako przyjeżdżali do nas już jako starzy znajomi, bo po raz trzeci. W czasie swego tygodniowego pobytu bawili w Łodzi i na Ziemi Łódzkiej, wystąpili w kilku miejscowościach województwa, dali dwa koncerty w Łodzi, odbyli wiele spotkań z zalogami zakładów pracy, ich pobytowi towarzyszyła wystawa książek i wydawnictw serbołużyckich, ekspozycja w Bibliotece im. Waryńskiego.

ŚRODA

Ostatni dzień letniej wakacji, które każdy spędzał jak chciał, czy też jak umiał. Okazuje się, że 28 tysięcy Polaków podróżowało auto-stopem, wśród nich znalazło się dwa i pół tysiąca łódzian. W tym oczywiście 90 proc. młodzieży, ale... Łódź wiedzie prym w auto-stopie uprawianym przez emerytów. Może w świetle tych doniesień PTTK zrealizuje ze swego rewalacyjnego — nawet na miarę światową — pomysłu, by szkolne wakacje rozłożyć na 4 miesiące lata, żeby toku urlopowego nie było.

Mato kto by się też domyślił, że w Polsce istnieje sieć schronisk młodzieżowych. W tej konkurencji zajęliśmy czwarte miejsce na zlocie Federacji

CZWARTEK

To już wrzesień. Koniec kanikuły, ogórków, zastój, odpoczynku itp. Początek natomiast roku szkolnego. Nie dało się tego nie zauważyć. Zaroiło się na ulicach od wylotu demograficznego, zrobiło się zaraz radośnie (to idzie młodzież) i ciśnie (bo ten wyzór robi się coraz większy). Na ulice wyszła góra stoisk z przyborami szkolnymi, pewnie po to, żeby Mahomet nie rozsądził po mieście sklepów. Pojawili się też stoiska z książkami, z czego chętnie korzystają dorośli.

Ruszyło wrzesień Łódzkie studio telewizyjne, które po przeszło miesięcznym udomakowaniu, pochwiliw się swymi cudami techniki, oblać lepszą jakością techniczną i artystyczną w postaci nowych atrakcyjnych audycji. Uwiezimy, czekamy.

Tylko teatry wciąż nie czynne. Z epidemicznych niemal remontów tylko

Teatr Powstańców wyszedł zwycięsko. Na czas, Teatr Nowy, któremu na skutek podłączenia do elektrociepłowni rozpruto ściany na obu salach. Małą Scenę zdołał wyszykować w terminie. Duża sala rozpoczęła sezon z opóźnieniem, dopiero w połowie września. Teatr Jaracza gra na dwóch scenach, ale o tym już pisaliśmy.

PIĄTEK

Prasa podała wiadomość prawie sensacyjną. Niejaki Leszek Pinka (zam. Pl. Dąbrowskiego 1) skazany został na 4500 zł grzywny z zamiarą na 9 miesięcy nieprzystojnych na ulicy i to w punkcie jak skrzyżowanie Piotrkowskiej i Traugutta. Wulgarnym słownikiem wywołał zgorszenie publiczne — orzekł sąd.

Zebyż tak więcej tych kar, częściej i nie tylko za obraze miejsc reprezentacyjnych! Może by ludzie nie „wychodzili z nerw” tak łatwo, może by potrafili zapanować nad swym temperamentem zanim się na wiazanki, może by się zastanowili czy się to opłaca za 4 i pół tysiąca zł? Może by zaczęli stosować jakieś środki uspokajające, które nie są bardzo drogą, a pracując, może do stać nawet receptę z 30-procentową zniżką.

SOBOTA

Kto energetyki, spokrewniony, lub miał w branży chłody, mógł sobie obejrzeć i posłuchać występów „Ślaska”, które uświetniły akademie z okazji „Dnia Energetyka” w Łodzi. Bo drugi występ „Ślaska”, ten dla szerokiego mas, został odwołany z powodu zmęczenia zespołu mienionymi wojaczami i perpektywami wyjazdów dalszych. Moglibyśmy wpisać z tego powodu w kompleks, gdyby nie wiadomość, że przybywający na „Warszawską Jesień” Arthur Rubinstein wystąpi w Filharmonii Łódzkiej. Chociaż przyjeżdża do Polski tylko na kilka dni, chociaż miał grać tylko w Warszawie — nie odmówił Łodzi i da tu jeden koncert. Ten niezrównany, dziś 80-letni i wciąż znakomity wirtuoz wystąpi z programem takim, że aż oko bieleje: Appassionata-Beethovena, Sonata b-moll — Chopina, a do tego jeszcze Debussy, Ravel, Chabrier, Grandos i Liszt. Mistrz nie zapomnił nigdy i powtarza to chętnie, że w gmachu Filharmonii Łódzkiej uczył się słuchać muzyki jako mały chłopak, że tu w 1911 r. dał koncert, zapowiedziany przez prasę jako występ „Utalentowanego doskonałego zapowiadającego się młodego pianisty”.

TER.

Dlaczego Anglicy nie mówią po angielsku?

Reportaż ten wywołał pewne refleksje na marginesie operetki „My Fair Lady”, oglądanej u nas na scenie warszawskiej i łódzkiej, o treści znanej zresztą z „Pigmaliiona”, godnej więc uwagi choćby ze względu na nazwisko znakomitego autora. Sława tej operetki wyprzedziła znacznie polskie inscenizacje, a to już zasługa filmu, w którym rolę główną kreowała Audrey Hepburn.

Film nie schodził przez długie miesiące z ekranów kin londyńskich, a poza swoimi walorami reżyserskimi, aktorskimi, muzycznymi ma też pewien walor, bardzo istotny dla sporej u nas rzeszy adeptów języka angielskiego, tych zwłaszcza, którzy po przekłnięciu sporej dozy Eekersley'a, Hornby'ego czy Smólskiej, wyławiali w Harwich lub na londyńskim lotnisku stwierdzili, że brzmiący dokoła język jest bardzo podobny do tego, którym mówiono na kursach, ale diablo niezrozumiały. Otóż operetka „My Fair Lady”, a w każdym razie jeden jej fragment nastroja speszonych w powyższy sposób adeptów języka angielskiego optymistycznie. Dzieje się tak dlatego, że jeden z jej bohaterów, prof. Higgins, autor „Higgins' Universal Alphabet” śpiewa piosenkę (może lepiej byłoby powiedzieć: wygłasza recitativ następującej treści):

„Poznasz Anglika po sposobie mówienia.

W chwili, gdy otworzy usta, zawsze znajdzie się

Inny Anglik, który wykpił angielszczyznę tamtego.

Obawiam się, że nigdy nie zdobędziemy się

Na jeden, powszechny język angielski.

Ach, dlaczego Anglik nie może być wzorem mówienia po angielsku dla obcych?

Szkoci i Irlandczycy mogą zadreżać swoją wymowę.

Bywają miejsca na świecie, gdzie angielski w ogóle zanika.

Na przykład w Ameryce nie używają go od lat wielu.

Dlaczego Anglik nie może nauczyć swoich dzieci,

jak należy mówić po angielsku? Norwegowie uczą się po norwesku.

Grecy — po grecku. Francuz zna francuski od A do Z.

Arab opanowuje arabski w mgiełce oka.

Nawet Hebrajczycy uczą się hebrajskiego.

Choć się to pisze z prawej — w lewo.

Ale spróbuj poprawnie mówić po angielsku —

— Okrzykną się diawliki!

Och, dlaczego Anglik nie może, Dlaczego Anglik nie może nauczyć

się po angielsku!

Istotnie, pewna Polka, kończąc tzw. City of London College, zapytała wykładowcy: „Mr. Hamil-

ton, zauważyłam, że pan mówi po angielsku inaczej, nauczyciel wymowy, pan Lodge — inaczej, a wykładający gramatykę p. Dickens jeszcze inaczej. Który z was mówi dobrze?”

Pan Hamilton, człowiek nie pozabawiony poczucia humoru, przez kilka minut zataczał się ze śmiechu, wreszcie oświadczył ciekawej Polce, że jej nigdy nie zapomni, ale zawartemu w pytaniu poglądowi nie zaprzeczył, co przecież całkowicie odpowiada teorii prof. Higginsa.

Toteż obcokrajowiec, zwłaszcza przybysz z dorzecza Wisły, skoro tylko poczuje, że miotają nim tzw. sprzeczne uczucia, że chwilami nabiera przekonania o swojej głębokiej znajomości języka, a chwilami wpada w rozpacz, że nie jest w stanie pojąć Anglika, powinien sięgnąć do przytoczonego wyżej fragmentu „My Fair Lady”, odzyskać równowagę ducha i do dziesiątków dialektów dodać dialekt własny, co przecież w żadnej mierze nie skomplikuje i tak już skomplikowanej sytuacji języka angielskiego. Długowłosi „The Beatles” śpiewają pięknie, ale mówią językiem, który w takim pozostaje stosunku do tzw. „King's English”, jak język obywateli spod Nowego Targu do literackiego języka polskiego. Anna German posługująca się na estradzie gwarą góralską lub kaszubską, byłaby u nas ale do przyjęcia. Podobna sytuacja — mutatis mutandis — w Anglii nikogo nie dziwi.

Uzbrojony więc we własny dialekt i spokojny, że bywają inne, gorsze, ruszasz „w Anglię”, by potwierdzić istniejące w twej wyobraźni obrazy spraw angielskich wywołane literaturą, opowiadaniem, anegdotą. Na pierwszym planie tych obrazów — Anglik, niósący pod czarnym melonikiem dominującą cechę swego narodu — flegmatyczność. Nie ma takiego obrazu. Dominująca cecha ulicy angielskiej czy podziemnych przestrzeni metra — to będący zaprzeczeniem flegmatyczności pośpiech. Pośpiech aut gorączkowo korzystających z owych tzw. „pop-singers” czy otwartego zielonym światłem skrzyżowania, pośpiech tłumów atakujących urzędnika stacji kolejki podziemnej, pośpiech szaleńczo mknących podziemnych pociągów. Flegmatyczni? — a owe rozhisteryzowane tłumy młodzieży, szalejące na widok swoich ulubieńców, owych tzw. „pop-singers” czy „pop-stars”, od czasów Tommy'ego Steele'a po „The Beatles” — to przecież ródziców angielska!

Ze to my — ponoć — dziarscy i żywiołowo reagujący! Czy styśzał kto, lub widział w naszych salach Filharmonii w czasie koncertów symfonicznych coś, co by wykraczało — przy wyjątkowych okazjach — poza tzw. gorące, lub mocne brawa? — Nie! A na koncercie Henryka Szeringa publiczność złożona w 3/4 z młodzieży, a wypełniająca salę po brzegi, reagowała pełnym entuzjazmem wrzaskami i nie milknącymi brawami.

I wreszcie, by problem flegmatyczności wyczerpać do końca: w programie telewizyjnym BBC —

seria wstrząsających zdjęć filmowych, ilustrujących, jak to zimi i opanowani Brytyjczycy znegają się nad własnymi dziećmi. Posiniazone, aż czarne od uderzeń niemowlęta, a flegmatyczni ojcowie udzielają wyjaśnień, że jak zacząć bić, to ich ponosi i nie mogą się opanować. Nawiasem mówiąc, w żadnym z przytoczonych w programie wypadków nie skierowano sprawy do sądu, bowiem prawo angielskie nie zna przepisów pozwalających ingerować w sprawy rodzinne. Opowiadano mi, że pies rzucił się kiedyś na dziecko, powalił je i począł dusić. Nikt z przechodniów nie pośpieszył dziecku z pomocą. Nie z powodu flegmatyczności, ale z obawy przepisu zabraniającego robiecia krzywdy... psu. Czekało więc, kiedy przyjdzie właścicielka i sama sprawę załatwi. Za brak opieki nad zwierzęciem nie została ukarana, bo wydarzenie potraktowano jako przypadek.

Jeżeli więc uparczywie przypisujemy Anglikom cechę flegmatyczności, to prawdopodobnie znów mamy tu do czynienia z nieporozumieniem płynącym z powszechnie znanego faktu, że po angielsku... inaczej się pisze, a inaczej mówi.

Jeżeli pod słowem „flegmatyczność” rozumiemy słabość reakcji uczuciowych, brak aktywności, to zapewne w sprzeczności z faktem przypisywania Anglikom tej cechy pozostaje cecha żartobliwości charakterystyczna dla poszczególnych osób, instytucji, a nawet samego języka.

Zacznijmy od końca. Znanie jest i u nas słowo „sandwich”, używane czasem na określenie „kanapki”, tej do jedzenia. Otóż dla polskiego ucha podświadomie brzmi angielskie słowo: „go sandwich” — „iść sandwiczem” — tzn. ona pośrodku, a dwaj panowie po dwóch jej stronach. Natomiast człowiek obnoszący po mieście reklamy w ten sposób, że ma jedną deskę z napisem na pierśsiach a drugą na plecach, nazywa się po angielsku: „sandwich-man”, „człowiek-kanapka”.

A oto żartobliwość w innych dziedzinach.

Na wózku ulicznego sprzedawcy owoców, na sterle gruszek — estetycznie wykonany plakacik głosi: „Nie ścisłaj mnie — dopóki nie jestem twoja”.

W szeregu mknących po jezdni szybki automobil na trzech kołach — widać takich sporo na angielskich drogach. Taki angielski „Mikrus”, tyle, że jeszcze mniejszy i na mniejszej ilości kół. Za tylną szybą — kartka z porządnie drukowanym napisem: „Utrzymaj odległość — poruszaj energią atomową”. A oto inny samochód, tym razem prawdziwy: sportowy model Triumph Haralda. Przy wozie kreśli się dwóch młodych ludzi. Tuż nad tylnym zderzakiem, obok numeru — wyraźny i znów bardzo solidnie wykonany napis: „Potrzebna dziewczyna, od zaraz. Może być niewykwalifikowana”.

Żartobliwość widać w reklamach handlowych. Na obrysimy plakacie — ładny kociać w zbyt dużej, męskiej koszuli. Napis głosi: „Nasze koszule jeszcze lepiej wyglądają na Adamie”. Na innych plakacie — kociać zaplany: „Nie plać lalczko, że nie dostałaś pracy — ogłosz jutro w Evening Standard a zaraz dostaniesz”. Mniej są natomiast zabawne filmowe reklamy w programach prywatnej telewizji ITV. Na ekranach cośrodowy „thriller”, czyli budzący dreszcz zgrozy kryminał. W wyniku zawilej intrygi bohater podnosi do ust szklankę z zatrutym „drinkiem”. Obraz znika. „Koniec części pierwszej”.

Z CYKLU: PORTRETY



Rys. W. Kondek

Na ekranie pani domu kupująca jedzenie dla kota. Właśnie ma wziąć puszkę o nieokreślonej nazwie, ale męski głos ją ostrzega: „Tylko nie to, jeśli ci życie kołki mije! „Kit-a-Kat” oto stosowne pozwienie wysokiej jakości, a przy tym, kupując „Kat-a-Kat” zaoszczędzisz 3 pensy! Tylko „Kit-a-Kat”!

Po jeszcze kilku podobnych informacjach przełączamy się na BBC w poszukiwaniu czegoś lepszego. Jest! Tym razem amerykańska odmiana języka angielskiego w kryminalne z pozytywnym gangsterem w roli głównej. To Allan Ladd dostarcza przybyszowi znaną Wisły rozrywkę swoim amerykańskim dialektem, dostrzegającym w potoku słów wymawianych przez nos z szybkością serii z gangsterskiego automatu. Treść zaś filmu interesująca z jednego choćby względu. Oto zbiegły z wojska gangster wchodzi w posiadanie dokumentów wykradzonych z jego pułku przez szpiegów, wyraźnie określonych jako szpiedzy niemieccy. Dostaje się następnie w ich ręce, a ich szef, usiłując zmusić gangstera do zeznań, ostrzy zapalki, by mu je wbijać pod paznokcie i robi przy tym uwagę. „Kiedyś tę metodę stosowali w czasie okupacji w Polsce, była bardzo skuteczna”.

Stąd — nowy przedmiot zainteresowań: sprawy polskie nad Tamizą. Oto przyjaciele angielscy w wieku przedszkolnym hałaśliwie objawiają radość z powodu planowanego na dziś telewizyjnego filmu dla dzieci, pt. „Lolka i Bolek”. Może — „Lolek i Bolek”? — Nie, Właśnie „Lolka i Bolek”. Zresztą program telewizyjny na łamach „Guardiana” nie pozwala wątpić dłużej. Godz. 6.05 (bo Angliecy prywatnie nie uznają osiemnastej) — „Lolka i Bolek”. Jest to — dziś już znana również widzom polskim — pocieszna kreskówka wyprodukowana w Bielsku-Białej. Tak komunikatywna, że bohaterowie w ogóle nie mówią, a tło muzyczne całko-

wicie wystarcza. Stąd możliwość sprzedania filmu do każdego kraju, bez potrzeby dubbingu. Nieśmiertelny tytuł trochę nieeksportowy: małymi literkami, ginącymi zresztą za ramką ekranu: „Przygody...”, niżej wielkimi: LOLKA I BOLKA. Polski film, do tego taki, który się podobą małym i dużym, wywołuje rozmowę o Polsce. Okazuje się, że dość trudno znaleźć Anglika średniej klasy zamożności, który by nie znał choćby jednego — dwóch Polaków, a zdarzyło mi się poznać pracownika jakiegoś biura budowlanego, w którym połowa kreślaczy, około 40 osób — to Polacy.

Niby obce, ogromne miasto, a bliskich polskiemu sercu drobiazgów — co niemiara. Na Victoria Station wola tragarz do tragarza najczystsza polszczyzna: „Panie Pułkowniku! Te walizki do pierwszej klasy!” Obok starego lotniska — obelisk poświęcony polskim lotnikom. Na Hermondey street na narażonym sklepie kartka z polskim napisem: „Sklep otwarty od... do...” W Hyde Parku osobiście ubrany tramp klęci się za dozorcą. „Ach ty taki owaki!” A owo „taki owaki” — absolutnie nadwiślańska soczystość i nie po to, by tamten zrozumiał, ale po prostu, by gniewowi ulżył, który wezbrał w sercu. Wreszcie przy Baker street przyciągają oczy zgrabne koszyki — lubianki pełne czarnych jagód. Na kablówkach informacja: „Produkt polski”. I rzeczywiście — wewnątrz sklepu autentyczna łowiczanka w narodowym stroju, zajęta sprzedawaniem specjalu. „Czy pani z samego Łowicza?” Zakłopotany uśmiech, ukazujący dość duże, raczej niesiowiańskie zębienie i odpowiedź: „I beg your pardon...” i jeszcze coś dodała, ale — jak mi się zdaje — z yorkshirskim akcentem, co raz jeszcze przypominało westchnienie prof. Higginsa:

Och, dlaczego Anglik nie może, Dlaczego Anglik nie może nauczyć się po angielsku!



Lewym okiem

MARSZ DO TELEWIZORA

Nie umiemy odpoczywać. Nie mamy pojęcia, co zrobić z czasem wolnym od pracy, stojąc na żenująco niskim poziomie co do kultury wypoczynku. Przekonują nas o tym od paru lat uniwersalni poprawiciele kulturalni, obcy, znający z wielu mimochodem odbytych wypadów za granicę sposób odpoczywania Francuzów w Hiszpanii, Szwedów w Dubrowniku i Amerykanów na Capri. Przekonali nas, grzmocimy się w pierś i przyznajemy: nie mamy zielonego pojęcia.

Siedzimy w pięknej miejscowości nad morzem. Miejscowość jest maleńka, ale teraz, w pełni sezonu, mieszka tu w setkach domków campingowych, w różnych pawilonach i namiotach parę tysięcy ludzi. Ośrodki campingowe kilku wielkich instytucji mają swoje centra gospodarcze,

jadalnię, kuchnię i magazyny. Nie przewidzieli tylko, że na dziesięć dni nad polskim morzem przez osiem pada deszcz. Siedzimy więc nie w pięknej miejscowości, tylko w ponurym, ciastym do niemożliwości, wilgotnym pokoiku, z rozwieszonych przemokniętych ciuchów kapie nam na głowy, siedzimy skurczeni i nie umiemy odpoczywać, kłiniemy w żywy pomorski kamień.

Nie ma ani jednej sali, gdzie by można pograć w szachy czy ping-ponga. W jadalniach albo się przygotowuje posiłek, albo się sprząta po posilku. Drzwi zamknięte. Wieczorem otworzą je i nastawia telewizor. Siedzicie po ciemku, milcząc, i nie zwracacie głowy.

Kiosk „Ruchu” wyprzedaje nawet ostatnie numery „Przeglądu Penitencjarnego” a tygodnika „Polska Paszczoła”. Czytelnia nie ma, jeśli ktoś z wczasowiczów przywiózł jakiś kryminał, to dzieło się go na pojedyncze kartki i puszcza w obieg. Któż by jednak wytrzymał nad książką przez szesnaście godzin dnia?

Przed rokiem, w przełomowym końcu kraju, była czytelnia. To był wielki dom wczasowy. Świetlicy nie było, więc etatowy kulturalnik, czy jak się tam owa egzotyczna funkcja zowie, pokazał się raz, czy dwa, wywiesił rozkład imprez, nie zorganizował ani jednej, bo nawet gdyby chciał — nie miałby gdzie. Siedziliśmy po pokojach, deszcz lał, patrzyliśmy w sufit nie mogąc odzłotać, że nas nie nauczono sztuki odpoczywania. Wieczorem można było w jadalni popatrzeć, milcząc, po ciemku, w telewizor.

Telewizor załatwia wszystko. Przed kilkunastu laty trzeba było zdobywać się na talenty towarzyskie, rozmawiać, śpiewać. Nie było etatowych instruktorów od kultury. Rolę tę spełniali w sezonie studenci. Amatorzy — więc po amatorzku wkładali w swą pracę trochę serca. Były jakieś wieczory literackie, konkursy, gawędy, piosenki, były bilardy, ping-pongi, mecze siatkówki, rzuty strzałkami do tarcz. Gdzie to się podziało? Znam parę ośrodków wypoczynkowych z ostatnich kilku sezonów. Nie ma nic! Nie ma nic oprócz telewizora!

Nie umiemy odpoczywać. Do wszystkich domów i ośrodków wczasowych wielką gromadą napływają dzieci. Kolonie koloniami, a potem z mamą i tatą i ciocią na wczasy. Dzieci urozmaicają posilki, a wieczorem patrzą w telewizor, czego im w domu czasami zabrakło. Rodzice co dwa trzy dni zabierają z jadalni co tam wypadnie na górę, do pokoju, odbijają flachy i obniżają jeszcze bardziej kulturę czasu wolnego. Co można robić innego?

Można jeszcze flirtować. Coraz bardziej niecierpliwie samotni urlopnicy poświęcają się tej rozrywe bez reszty, w sposób nie zawsze pełen wdzięku. To nie. I tak — ze wszystkich dostępnych możliwości spędzenia czasu — ta wydaje się najlepsza. Relaks całkowity. Dawno zgrane dowcipy i wspomnienia na nowo nabierają waloru, można je znów opowiadać przez cały dzień. A po kolacji — marsz do telewizora. Po to go przecież wymyślili, żeby już nikt nigdy o niczym myśleć nie potrzebował.

CWIEK